

A 2897 II

SIGMA



Σ 3 $\frac{43}{72/73}$

PROJEKTOWANIE czy KREŚLENIE?

Projektowanie i kreślenie... czynności, które wykonujemy na Uczelni czynności, które wykonywać będziemy od pierwszego dnia pracy w biurze projektowym. A zatem nieobce studentom, kadryze nauczającej i projektantom z przemysłu. Tak więc nie jest przypadkowym skład uczestników dyskusji redakcyjnej, poświęconej tym zagadnieniom. A oto uczestnicy dyskusji:

mgr inż. Wojciech Mazurkiewicz (Inżynieria Sanitarna)

mgr inż. Franciszek Przystupa (Mechaniczny)

inż. Janusz Wójcik (Wydział Gospodarki Wodnej Prez. WRN)

inż. Zbigniew Sadowski (kierownik pracowni projektowej w Biurze Projektów Budownictwa Komunalnego)

oraz studenci Wydziału Mechanicznego: Eugeniusz Grabowski Tadeusz Sulima

i Wydziału Architektury Leszek Maluga.

Ze strony redakcji dyskusję przygotował i prowadził Jerzy Włodarczyk.

JERZY WŁODARCZYK: Zdaję sobie sprawę z tego, że temat dzisiejszej dyskusji, jak wiele innych tematów dotyczących życia szkoły jest bardzo obszerny. Tym niemniej jest ważnym ponieważ dotyczy tak chwili obecnej jak i najbliższej przyszłości.

Projekt i kreślenie wykonuje się, a jeszcze więcej się o nich mówi i to przeważnie ujemnie — a to, że tematy są stare, sprzed wieków, że niczego nie uczą, że nadmierna jest ich ilość szczególnie z przedmiotów „ubocznych” przerabianych „po lebkach”, że nieważna jest myśl techniczna tylko cieniowanie, grubość kreski i ilość kolorów, że nie zdarzały się tematy o prawdziwych założeniach wziętych z życia, że wreszcie, wytwarza się specyficzne podejście studenta do wykonywanego projektu — lipy.

Chciałbym, abyśmy naszą dyskusję rozpoczęli od próby określenia relacji jaka zachodzi między rzeczywistością techniczną w praktyce a stanem projektowania na uczelni.

inż. JANUSZ WÓJCİK: Może zajmę się tu jedną sprawą. Jeżeli chodzi o Politechnikę jako taką jest ona szkołą, która niewątpliwie przygotowuje do dalszej pracy projektowej. Zasób wiedzy jaki wynosi młody absolwent jest wystarczający do tego aby mógł on zaprojektować, zgodnie z wymogami technicznymi dany projekt. Natomiast jest jeszcze jeden aspekt życiowy, a mianowicie kwestia uzgodnień, z którymi koledzy nie mogą się zetknąć na uczelni i po prostu nie wiedzą co to jest. Te dwie sprawy w wielkim stopniu uniemożliwiają opracowywanie projektów rzeczywistych, które mogą być gotowe do realizacji. W fazie projektowej trzeba przebrnąć przez straszny gąszcz uzgodnień i boję się, że student nie byłby do tego ani przygotowany ani fizycznie zdolny do przeprowadzania w ramach zajęć projektowych. Uważam, że prace, szczególnie te bardziej zaawansowane na latach wyższych, czy tak zwane przejściówki, czy prace dyplomowe — powinny być opar-

te o rzeczywiste dane, które mogłyby stanowić jakieś przygotowanie do opracowania założeń projektowych przyszłej inwestycji. Mówię bardzo ogólnie nie skupiając się na żadnym konkretnym przykładzie ale może to być przykładowo oczyszczanie ścieków, most czy zespół mechaniczny. Myślę, że moja wypowiedź będzie jak gdyby wstępem do wypowiedzi kolegi Sadowskiego, który może powiedzieć jak te sprawy wyglądają od strony pracowni projektowej.

INŻ. ZBIGNIEW SADOWSKI: Zastanówmy się przez chwilę co nazywamy projektowaniem — będzie to zespół czynności mogących w rezultacie dać projekt nowej inwestycji. A więc początkowo określenie szczegółowe celu projektowania (z całym szeregiem dodatkowych badań i studiów) następnie niby właściwe projektowanie, czyli program ogólny założeń inwestycji obejmujący całokształt zagadnień związanych z projektowaniem. Jest to opracowanie docelowe (dawniej perspektywiczne) określające kierunek, do którego powinniśmy dążyć i pod którego kątem nastawiać się do naszego projektu. Następnym etapem do założenia techniczno-ekonomicznego (więcej roboty papierkowej niż projektowania). I ostatnia faza — projektów technicznych.

Obok tej formalnej strony projektowania istnieją jeszcze zagadnienia z nimi związane. A więc cały szereg przepisów, zarządzeń i innych instrukcji zmieniających się prawie z dnia na dzień. Ręczę, że w tej chwili panowie nie znajdziecie projektanta, który mógłby powiedzieć, że się orientuje w tym gąszczu. Inna sprawa to katalogi, które wydawałoby się można dać studentowi do ręki. Ale np. na podstawie obowiązujących katalogów z roku 1962 projektować nie wolno. Na każdą rzecz wybraną z katalogu trzeba mieć potwierdzenie wytwórcy ale ten zwykle odpowiada: „... Tak to jest w katalogu ale produkowane będzie dopiero w 1974 roku...”. Tu zmieniamy typoszereg, tu

coś innego tak, że praktycznie, katalog jest bardzo luźnym informatorem, w oparciu o który nie można pracować. Inna sprawa, to wykonawstwo robót. Inżynier nie może sobie pozwolić na zaprojektowanie tego co chce, co jest słuszne i logiczne, bo veto stawia wykonawca, który nie ma akurat takiej maszyny, tego nie umie, a to mu się po prostu nie opłaca.

JERZY WŁODARCZYK: Rzeczywistość ta jest straszna mimo, że na uczelni nie mamy okazji się z nią zetknąć. Co w takiej sytuacji może robić uczelnia i czego może nauczyć?

inż. ZBIGNIEW SADOWSKI: Jeżeli chodzi o stronę formalną projektowania to student powinien mieć większe rozeznanie w toku projektowania. Ktoś musi to wyjaśnić, ustawić, posegregować i uczelnia właśnie pozwala od tego „a” zacząć. Wydaje mi się, że nie chodzi tu o szczegóły ale o ogólne zarysy. Istnieje takie rozwiązanie w sprawie najbardziej panów interesującej tj. włączenie się, już na uczelni, do życia gospodarczego kraju czy rejonu poprzez projektowanie, z którym zetknęliśmy się po studiach. Było to prowadzenie prac projektowych na etapie wspomnianych programów ogólnych. Projekty te oparte na danych i założeniach otrzymanych z Rad Narodowych czy jednostkach projektowych przedstawiałyby najsłuszniejsze rozwiązanie pod kątem nowoczesności i wielkiej perspektywy. A zatem miałyby określoną wartość.

JERZY WŁODARCZYK: Te wypowiedzi ukazują jak wielka jest rozbieżność między teorią a praktyką. Nasuwa się wniosek, że wszystkie studenckie projekty, przy założeniu ich poprawności technicznej są projektami idealnymi gdyż opartymi na niesprawdzonych katalogach i możliwościach wykonawców. Częściowym „ściągnięciem z obłoków” jest opracowanie projektów na podstawie realnych zapotrzebowań terenu czyli konsumenta. Ale interesuje mnie sprawa „mocy konstrukcyjnej” świeżo upieczonego absolwenta, który znalazł się w biurze projektowym.

inż. ZBIGNIEW SADOWSKI: Z własnych obserwacji widzę, że ci młodzi, którzy przychodzą do nas pracować tracą bardzo dużo czasu (2—3 lata) na to, aby poznać całą problematykę. Często się zniechęcają. Bierze się to stąd, że dzisiaj mamy bardzo mało projektowania a bardzo dużo przepisów i roboty biurokracji. Projektowanie w wielu wypadkach zostało nakazem chwili spłycone poprzez wprowadzenie np. typizacji nie w takim pojęciu w jakim chcielibyśmy ją widzieć. Stąd ta dziwna sytuacja, że młody inżynier czuje się w biurze jak intruz, nieprzygotowany do podjęcia jakiegokolwiek pracy. Konieczny jest tutaj przewodnik. Uważam, że uczelnia powinna zwrócić większą uwagę na formy przygotowania studentów do „życia”, bo niezawsze wyniesiona wiedza teoretyczna ma „okazję” sprawdzić się w praktyce.

JERZY WŁODARCZYK: Wynika z tego, że inżynier nie ma czego szukać w biurze koncepcyjnym ponieważ tam potrzebna jest tylko umiejętność odpowiedniego doboru szufladek, w których wszystko jest zunifikowane, poukładane i ograniczone normatywnymi. mgr FRANCISZEK PRZYSTUPA: Skoro panowie jasno stwierdzają, że absolwent jest dobrym inżynierem i nie jest dyletantem, w takim razie zło nie leży po stronie uczelni, a raczej biur projektowych, nieprzygotowanych na korzystanie z usług inżyniera, nastawionych na jego sprawność w posługiwaniu się przepisami itp.

JERZY WŁODARCZYK: Jestem ciekawy jak wyglądają sprawy projektowe, na Wydziale Architektury, czy także katalogi i typizacja odgrywają tu rolę wiodącą?

LESZEK MALUGA: Większość projektów wykonanych przez nas związanych jest z życiem codziennym — mam tu na myśli budownictwo mieszkaniowe, usługowe a także przemysłowe. Niestety, w większości obiekty te także są skatalogowane, opracowane są typizacje, budowane są fabryki domów oparte na zunifikowanych wzorach.

Istnieje problem czy na wydziale Architektury należy kształcić studenta, który później jako inżynier potrafiłby odpowiednio zastosować jakiś konkretny model czy typ budynku, czy też kształcić inżyniera tworzącego nowe wartości, rozwiązania indywidualne. Jak na razie istnieje sprzeczność pomiędzy naszymi projektami studyjnymi a realizacjami.

inż. ZBIGNIEW SADOWSKI: Inżynier powinien wynieść z uczelni nie szczegóły ale olbrzymi horyzont wiedzy, żeby miał możliwość wyjścia w przyszłość. Ale żeby nie został zawieszony w próżni, właśnie na ostatnich latach powinien być wprowadzany w rzeczywistość.

Przed chwilą kolega mówił o architektach. Wszyscy przychodzący do nas chcieliby projektować albo kina, albo teatry albo operę. Mają aspiracje i założymy, że są w stanie je realizować (nie każdego architekta uważam za artystę mimo, że wszyscy się za takich mają). Ale inna jest rzeczywistość, chociażby za oknem. Co tu architekt może zrobić, jak on ma ustawione segmenty? Najwyżej przedstawiać je w prawo lub w lewo. Takie jest życie.

inż. JANUSZ WÓJCIK: Koledzy wspominali o technicznej gotowości absolwentów Politechniki ale także, że nie można z nich zrobić „uniwersaliów” z jeszcze innym przygotowaniem. Ja się z tym nie zgadzam, ponieważ po-
stęp czasu dyktuje nam pewne ko-

nieczności. Podam przykłady tego. W chwili obecnej konieczna jest ochrona środowiska. Każdy projekt musi być zbadany pod tym aspektem, a więc ochrony wody, powietrza, gleby. Inaczej sami unicestwiamy siebie.

Zatem młody inżynier musi sobie poszufladkować nie tylko swoją wiedzę techniczną ale i te szerokie horyzonty konieczne do działalności w danym kierunku. W pewnym momencie inżynier musi być nawet prawnikiem. Nieuświadomienie sobie tych konieczności powoduje wspomniane zawieszenie w próżni.

W dzisiejszych czasach trzeba być omnibusem. Pocięszającą sprawą w naszej rzeczywistości jest, że ludzie nauki zaczynają dochodzić do głosu.

JERZY WŁODARCZYK: Czy panowie asystenci mogą przedstawić sytuację projektową na swoich wydziałach?

mgr FRANCISZEK PRZYSTUPA: Choć projektowanie właściwie zaczyna się na trzecim roku, prace w tym zakresie rozpoczynamy już na I semestrze. Na roku I w zasadzie uczymy studenta tylko kreślenia. Studenci mają do nas pretensje, że te kreślenia zabierają im bardzo dużo czasu. Musimy jednak tych rzeczy ich uczyć (mimo braku warunków ku temu), tak aby na trzecim roku byli gotowi do projektowania.

Często zdarza się, że w I semestrze

uczymy studenta kreślić rzeczy, których on na oczy nie widział (np. pasowania nadające się raczej na rok II czy III, po wykładach orientujących). Jest to kreślenie zwykłych obrazków bez odrobiny czucia i zrozumienia tematu — nie o to nam chyba chodzi. Na III roku studenci mają tzw. projektowanie wstępne. Nie możemy dać studentowi tematów zbyt poważnych, użytecznych, dostaje on do opracowania zagadnienia rozwiązane w latach międzywojennych.

Dopiero na IV, V roku student jest w stanie projektować tematy, które mogą być ogólnie użyteczne. Sytuacją wyjątkową jest udział studentów w opracowaniu zleceń z przemysłu. Tu następuje kontakt z rzeczywistością nie ograniczający się tylko do orientacji w przepisach, materiałach czy załatwienia światłokopii.

EUGENIUSZ GRABOWSKI: Może jestem idealistą ale wydaje mi się, że już w pierwszych projektach można zadawać tematy, o których wartości student byłby przeświadczony. Tymczasem np. przy bardzo prościutkim projekcie połączenia śrubowego, projekty różnią się tylko cyferkami danych, wstawionymi „na oko” w temacie. Skutek jest taki, że projekty są robione „pod sztancę”, aby zaliczyć. Brak tu zasadniczego elementu wychowania konstruktorskiego, przeświad-

Fot. J. Bachrij



czenia o wartości pracy i odpowiedzialności. Bardzo często identycznie przedstawia się sprawa z „poważnymi” projektami przejściowymi, które po oddaniu wędrują do kosza. Student przystępując do pracy zdaje sobie z tego sprawę i nie wysila się zbytnio żeby zrobić rzecz porządnie od początku do końca, tylko naciąga obliczenia gdzie się da. Związana jest z tym także sprawa czasu zajętego przez kreślenie. Uważam, że paradoksem jest wymaganie od studentów wykonujących prace przejściowe, czy inne projekty, rysowania elementów i detali mało istotnych, bez żadnych uproszczeń. Bywały przypadki gdy łożysko rysowali jako uproszczone — po prostu postokąt z kreską. Tymczasem asystenci odrzucały te rysunki, żądając wykonania pracochłonnego z zaokrągleniami, kalkami itd.

inż. ZBIGNIEW SADOWSKI: Uważam, że dla wyrównania startu studentów, szczególnie jeżeli o chodzi o Politechnikę, w ramach politechnizacji w szkołach typu ogólnego powinno się wprowadzić pierwszą podstawową rzecz — rysunek techniczny i kreślenie. Wtedy wszyscy mieliby jednakowy start.

JERZY WŁODARCZYK: Interesują mnie jeszcze głosy w sprawie wymagań stawianych przez asystentów w czasie projektowania, a które nie ograniczają się tylko do kwestii uproszczeń.

TADEUSZ SULIMA: Wydaje mi się, że asystent ma pewien model, do którego stara się dostosować nas, swoich podopiecznych. Do projektu wstępnego mamy opracować kilka koncepcji i

przedstawić je do zatwierdzenia. Ale my nie mamy możliwości pracy koncepcyjnej, nasza rola sprowadza się do tego, że pewne rzeczy po prostu odrysowujemy. Wie o tym asystent bo przecież poleca nam pewną literaturę, czy wzory z przemysłu ale w takim razie jaką rolę spełnia takie „projektowanie”?

Inna sprawa to ocena często wizualna a nie merytoryczna. Spotykałem się z wieloma przypadkami odrzucania projektów przez asystentów ponieważ były nieco gumowane czy zrobione niezbyt starannie. Z kolei przedstawiano nam jako przykłady projekty wykonane bodajże przez Japończyków budzące negatywne skojarzenia swoim wyglądem, wykonane odręcznie a podobno wartościowe, wnoszące coś nowego. Chodzi chyba o to by uczyć projektowania a nie kreślenia.

mgr WOJCIECH MAZURKIEWICZ: Patrząc na te sprawy nie z pozycji asystenta a studenta wydaje mi się, że problem czy asystent wymaga, czy nie wymaga jest związany tylko z daną osobą. Jeden asystent chce się wysilać, drugi nie i stąd studenci wykonują swoje projekty „pod asystenta”. Mówicie, że projekty są odrzucane za estetykę — ja po prostu nie dałem sobie odrzucić projektu będąc przeświadczony o jego poprawności a jednocześnie przynajmniej, że pismo mam fatalne.

mgr FRANCISZEK PRZYSTUPA: Wiadomo, że asystent nie podniesie głowy znad projektu i zacznie cię obrażać tylko musi projekt przejrzeć i zanalizować. Jeżeli faktycznie jest drobiazgowy i żadna dyskusja nie ma

sensu, wtedy jest jeszcze jego kierownik dydaktyczny.

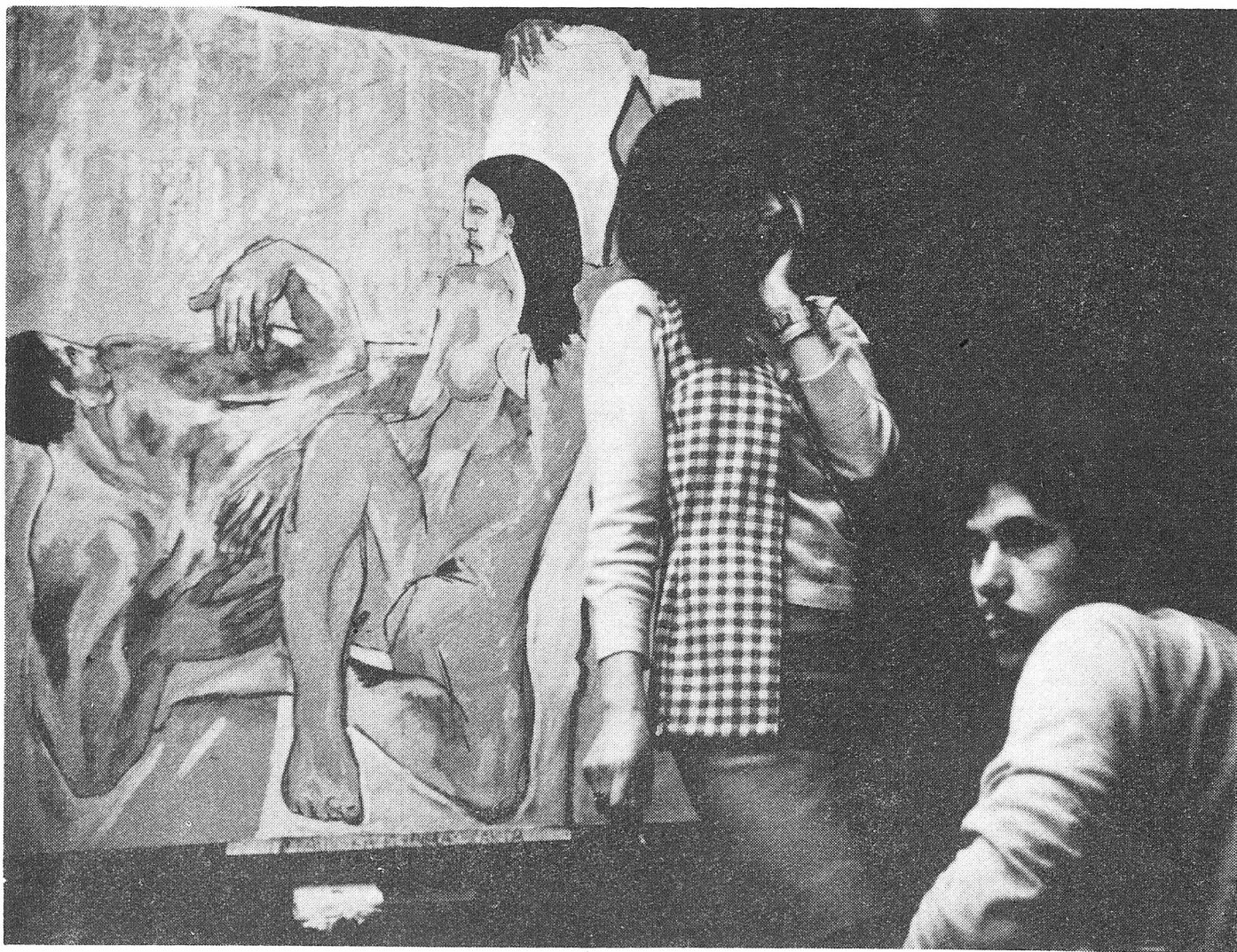
TADEUSZ SULIMA: Zdajemy sobie sprawę co to znaczy zadzierać z własnymi asystentami i nikt nie ma na to ochoty. Ale co zrobić jeżeli asystent przekonywująco zwraca uwagę „Panie, coś pan tu wymalował!” i z zacięciem flamastrem lub długopisem kreśli na projekcie kółka, krzyżyki i znaki zapytania?

JERZY WŁODARCZYK: W takim razie jak panowie wyobrażają sobie w miarę idealne zajęcia projektowe?

mgr FRANCISZEK PRZYSTUPA: Padło tu zdanie, że projekty nie są ciekawe, bez możliwości wyzycia się, ale przecież są one przygotowane na podstawie średniego poziomu danej grupy. Nie jesteśmy w stanie pracować z jednym studentem przez cały czas, aby wy kierować go na konstruktora. Ci studenci z ambicją na tym tracą.

JERZY WŁODARCZYK: Czy także na średnim poziomie grupy są projekty, niezmiennie od lat z wstawianymi co roku innymi wartościami danych?

mgr WOJCIECH MAZURKIEWICZ: To jest już indywidualna sprawa asystentów, bo u nas na przykład im lepszy student tym trudniejszy problem musi rozwiązać. Ale wracając do pytania w sprawie powielania projektów. Jest fizyczną niemożliwością przygotować tematy dla 30 osób i w dodatku każdego konsultować. Nie ma sal, nie ma czasu, brak pomocy naukowych. Nie ma mowy o studiowaniu i projektowaniu, gdy kontakt jest raz w tygodniu a student przychodzi już z go-



towymi rysunkami. Normy, przepisy i katalogi w znikomych ilościach przynoszone są na ćwiczenia, ale nie można ich wypożyczyć do domu gdzie wykonywane jest gros prac. Mówi się o powielaniu, ale raz że nie ma gdzie (własny zakład graficzny), a po drugie podobno cena jest wyższa niż w sklepie.

mgr FRANCISZEK PRYZSTUPA: Sprawa istotną jest ilość osób na zajęciach projektowych. Nie ulega wątpliwości, że ścisła współpraca może zachodzić tylko w grupie kilkusobowej i to na sali projektowej. Wtedy może dojść do dyskusji nad rozwiązaniem projektu. Rozwiązaniem mógłby być staranny szkic odręczny z zawartą w nim myślą, koncepcją i to mogłoby zostać zatwierdzone jako projekt, bo od kreślenia w biurach projektów są przecież kłeszarze rozumiejący rysunek techniczny.

LESZEK MALUGA: Mnie się wydaje, że za wysokie wymagania są na na-

szych ćwiczeniach projektowych co wiąże się z dodatkowym nakładem pracy zupełnie niepotrzebnej. Np. na IV czy V roku praca koncepcyjna zajmuje 2—3 tygodnie a pozostałe 12 tygodni semestru poświęca się na opracowanie graficzne.

Aktywność w obronie własnego projektu wiąże się bardzo ściśle z rodzajem tematu. I u nas spotyka się często powielanie tematu z roku na rok czy koncepcje prawie, że narzucane przez asystentów. Innym problemem występującym na naszym wydziale jest brak powiązania między poszczególnymi rodzajami projektowania. Wykonując projekt budowlany np. dostajemy podkład typowy z katalogu i robiąc opracowanie zastosowania materiałów nie zwracamy absolutnie uwagi na architekturę czy konstrukcję. Podobnie ma się historia przy projekcie konstrukcji. Przy projekcie architektonicznym natomiast, owszem, zwracamy uwagę na

materiały ale jest to szkło, aluminium, miedź i plastik, a nasze ambicje nie mają powiązania z realiami

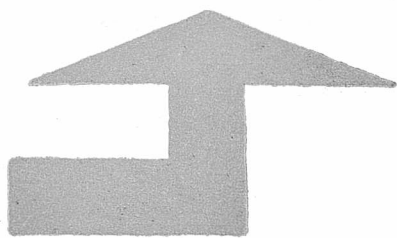
Czy nie prościej i z większym pożytkiem byłoby kontynuowanie jednego projektu przez kilka semestrów nawet, ale z opracowaniem go wszechstronnym? Taka jedna całość na pewno wzbudzałaby większe zainteresowanie tematem a także odpowiedzialnością za pracę wykonaną wcześniej przez siebie samego?

Oczywiście nie skończyliśmy dyskusji, zresztą nie to było naszym założeniem. Na pewno nie „wypomnieliśmy” wszystkich spraw związanych z projektowaniem i kreśleniem. Może nawet nie byliśmy w stanie wskazać wszystkich cieni i blasków. Z tym większą nadzieją liczymy na głosy PT Czytelników, które gotowi jesteśmy opublikować.

Opracował: JERZY WŁODARCZYK

EGZAMIN WSTĘPNY

jak go
widzę



Anna Szaynok

Dyskusja na temat wyboru optymalnej metody przeprowadzania egzaminów wstępnych toczy się w Politechnice Wrocławskiej od wielu lat. System egzaminowania w ostatnich kilku latach uległ pewnym zmianom, i to według mojego zdania, zmianom pozytywnym. Zmiany te dotyczyły głównie egzaminu z matematyki. Zrezygnowano z egzaminu pisemnego, do którego pytania były dostarczane centralnie przez Ministerstwo. Wyniki egzaminów pisemnych z matematyki były bardzo słabe (w niektórych latach do 80% ocen niedostatecznych) i nie dawały podstawy do rozsądnej selekcji kandydatów. Decydował ostatecznie egzamin ustny z matematyki i fizyki. W celu wyrównania różnic stopni trudności, związanych z różnymi wymaganiami egzaminatorów, wprowadzono system komisyjnych egzaminów pisemno-ustnych. Kandydaci losują zestawy pytań i mają godzinę czasu na przygotowanie się do odpowiedzi. Przy odpowiedzi kandydata obecne są co najmniej dwie osoby. Przy takim trybie egzaminowania decydującą rolę odgrywają dwa czynniki: odpowiedni zestaw pytań, oraz odpowiedni dobór komisji egzaminującej.

Aby pytania były zestawione prawidłowo, musi być spełniony szereg postulatów. Należą do nich: zgodność z

programem szkoły średniej, znajomość stopnia przyswojenia wiadomości przewidzianych programem przez uczniów, reprezentacja obszernego zakresu materiału w każdym zestawie pytań, równy stopień trudności wszystkich zestawów, merytoryczna poprawność i jasne formułowanie pytań. Zmiana programów nauczania w szkołach średnich stworzyła konieczność opracowania nowych pytań egzaminacyjnych. Zbiegło się to mniej więcej w czasie z wprowadzeniem egzaminów pisemno-ustnych.

Sposób opracowania pytań egzaminacyjnych z fizyki wyglądał następująco. W roku szkolnym 1970—71 (pierwszy rocznik absolwentów zreformowanego liceum ogólnokształcącego), zostały przeprowadzone badania testowe z fizyki w siedmiu szkołach Wrocławia i województwa wrocławskiego. Wyniki tych badań pozwoliły ocenić stopień przyswojenia przez uczniów materiału przewidzianego programem. Okazało się, że istnieją duże rozbieżności między programem, a rzeczywistymi wiadomościami uczniów. Uzyskane informacje zostały wzięte pod uwagę przy układaniu pytań, a niezależnie od tego wszyscy egzaminatorzy zostali powiadomieni o wynikach badań testowych. Zestawy pytań zostały opracowane na podstawie obowiązującego programu nauczania fizyki w liceum ogólnokształ-

cącym i w oparciu o obowiązujące podręczniki. Sformułowania pytań były zgodne ze sposobem formułowania zawartym w podręcznikach. Stopień trudności nie przekraczał możliwości średniego ucznia. Każdy zestaw zawierał dwa pytania z zakresu teorii i dwa zadania. W każdym zestawie były reprezentowane główne działy fizyki: mechanika, ciepło, elektryczność oraz optyka i fizyka współczesna. Zarówno pytania z teorii, jak i zadania były konsultowane z Okręgowym Ośrodkiem Metodycznym w Wrocławiu. Pomimo dość dobrego rozeznania w poziomie przygotowania kandydatów, oraz dążenia do wyrównania stopnia trudności zestawów pytań, okazało się, że średnie oceny uzyskane przez kandydatów różniły się znacznie dla różnych pytań. Stwierdzono to oczywiście po przeprowadzeniu egzaminu w lipcu 1971 r. Średnia ocena z fizyki na egzaminie pisemno-ustnym, wyliczona z wszystkich ocen wynosiła 3,2. Najniższa średnia ocena zestawu pytań wynosiła 1,5, a najwyższa 4,2. W celu ułatwienia przeprowadzenia analizy statystycznej wyników, egzaminatorzy stosowali skalę ocen od 0 do 5. Oceny negatywne zawierały się w zakresie od 0 do 2,4, a pozytywne w zakresie od 2,5 do 5. Liczba 2,5 lub mniej odpowiadała stopniowi minus dostatecznemu, 3 — stopniowi dostatecznemu, itd.

Niezależnie od egzaminu pisemno-ustnego, dla pewnej liczby kandydatów został przeprowadzony egzamin testowy z fizyki. Niestety w grupie kandydatów poddanych badaniom testowym była tylko niewielka liczba kandydatów, którzy ukończyli liceum ogólnokształcące w roku 1971 według programu, do którego był dostosowany test. Z porównania rezultatów egzaminu pisemno-ustnego i testowego wynika bardzo dobra zgodność w zakresie ocen niedostatecznych, lecz duże rozbieżności w zakresie ocen dobrych i bardzo dobrych.

Na podstawie statystyki wyników u-

zyskanych przez kandydatów dla poszczególnych pytań, przeprowadzono korektę zestawów pytań, w celu ujednolicenia stopnia ich trudności. Zbyt łatwe i zbyt trudne pytania zostały wyeliminowane i zastąpione nowymi. Przeprowadzono również wymianę pytań i zadań w ramach zestawów. W oparciu o pytania maturalne opracowane przez Okręgowy Ośrodek Metodyczny we Wrocławiu, rozszerzono zakres materiału o zagadnienia trudniejsze, poprzednio pominięte. Tak skorygowane zestawy pytań były użyte na egzaminie wstępnym w roku 1972. Na podstawie analizy wyników uzyskanych

przez kandydatów stwierdzono, że średnia ocena z fizyki wynosiła 3,4. Najniższa średnia ocena zestawu pytań wynosiła 2,4, a najwyższa 4,1. W oparciu o analizę wyników egzaminów uzyskanych w bieżącym roku, ponownie zostanie przeprowadzona korekta zestawów pytań. Uzyskane średnie wyniki egzaminów z fizyki, zarówno w zeszłym, jak i w bieżącym roku, świadczą o prawidłowym ustaleniu stopnia trudności zestawów pytań. Zawężenie rozrzutu średnich ocen świadczy o efektywności przeprowadzonej korekty pytań. Wzrost średniej oceny o 0,2 jest przypuszczalnie spowodowany lepszym przygotowaniem absolwentów szkół w oparciu o nowy program nauczania. Podane liczby odnoszą się do pytań egzaminacyjnych przystosowanych do nowego programu i nie obejmują wyników egzaminów kandydatów, którzy ukończyli szkoły średnie według starego programu. Byli oni egzaminowani na podstawie pytań dostosowanych do starego programu, których stopień trudności był również ujednolicony w opisanym wyżej sposób.

O ile w stosunku do zestawów pytań można stosować zabiegi dające w rezultacie stopniowe ujednolicenie poziomu ich trudności, o tyle bardziej skomplikowane jest wyrównywanie sposobu sprawdzenia wiadomości kandydata przez egzaminatorów. Niewielka liczba odwołań do komisji rektorskiej od uzyskanych ocen mogłaby nastrajać optymistycznie. Trzeba jednak pamiętać, że odwołania dotyczą albo przypadków drastycznych, albo są wnoszone przez kandydatów o dużej pewności siebie, co zdarza się rzadko. Na ogół, kandydaci są mało skłonni do otwartego kwestionowania wyroków egzaminatorów, co zresztą jest wynikiem obciążeń wyniesionych ze szkoły średniej, gdzie nauczyciel jest ostateczną, niepodważalną wyrocznią. Odwołania dotyczą najczęściej wątpliwości co do stopnia niedostatecznego. Przy egzaminie konkursowym, o przyjęciu decydują jednak różnice w uzyskanych ocenach pozytywnych. Z tego względu należałoby położyć większy nacisk na odpowiedni dobór egzaminatorów i członków komisji egzaminacyjnych. Należy wyeliminować z ich grona ludzi nadmiernie pobudliwych, nie posiadających odpowiedniego doświadczenia i wytrzymałości psychicznej. Umiejętność skoncentrowania uwagi na merytorycznej stronie odpowiedzi kandydata, odpowiednie wyważenie w ocenie, uwzględnienie mniej lub bardziej uwewnętrznzonego stanu psychicznego kandydata, to przybliżony zestaw wymagań stawianych dobremu egzaminatorowi. Ogólnie, można stwierdzić, że egzamin wstępny jest jedną z najbardziej wyczerpujących czynności dydaktycznych. A trzeba pamiętać, że egzamin trwa przez 8 do 10 dni po około 6 godzin dziennie. Jest więc rzeczą oczywistą, że do egzaminów wstępnych powinni być kierowani najbardziej odpowiedzialni i doświadczeni pracownicy. Ponieważ wymaga liczba egzaminatorów jest duża (około 40 komisji), trudno wybrać z grona matematyków i fizyków ludzi spełniających wszystkie wymienione wymagania. Należałoby więc zwrócić szczególną uwagę na odpowiedni dobór przewodniczących i członków komisji. Odpowiednio dobrany zestaw komisji egzaminacyjnych pozwoli na wyrównanie wymagań i sposobu egzaminowania. Oczywiście, w zestawieniu składów komisji powinni brać udział ludzie znający osobiście egzaminatorów, a więc np. dyrektorzy do spraw dydaktyki Instytutu Fizyki



Technicznej oraz Instytutu Matematyki i Fizyki Teoretycznej. Można by również wprowadzić zespół hospitujący, złożony z przedstawicieli matematyków i fizyków. Na wniosek tego zespołu można by było przeprowadzać na bieżąco korekty składu komisji.

Zastosowanie anonimowości kandydatów jest godne jak najdalej idącego poparcia i kontynuowania. Niezwykle cenną zasadą stosowaną przy egzaminach wstępnych na Politechnikę Wrocławską jest natychmiastowe informowanie kandydatów o wynikach egzaminów.

Powstaje pytanie, czy nie należałoby zmienić całkowicie stosowanego sposobu egzaminowania i przejść na system np. egzaminów testowych. Badania w tym zakresie są u nas prowadzone od trzech lat. Egzamin testowy w roku 1970 dotyczył absolwentów starego liceum. O wynikach testów z roku 1971 już wspomniałam. W roku bieżącym również zostały przeprowadzone badania testowe, równoległe do egzaminów pisemno-ustnych, dla pewnej grupy młodzieży. Wyniki tych badań nie są jednak jeszcze opracowane. Osobiście uważam, że przejście na system egzaminów testowych byłoby pociąganiem bardzo ryzykownym. Przemawia za tym szereg przyczyn. Pierwszą z nich jest brak doświadczenia w konstruowaniu odpowiednich testów. Testy opracowane przez pracowników Instytu-

tu Fizyki Technicznej w latach 1970—72, są w zasadzie testami sprawdzającymi wiadomości, ale suma posiadanych wiadomości, często encyklopedycznych, nie jest najbardziej cenną cechą przyszłego studenta. Opracowaniem testów z fizyki, pozwalających również ocenić inteligencję i umiejętność logicznego rozumowania, zajmuje się Okręgowy Ośrodek Metodyczny we Wrocławiu (może w przyszłości będzie można korzystać z testów opracowanych według obowiązujących w tej dziedzinie zasad). Drugim względem przemawiającym przeciwko testom jest brak przyzwyczajenia młodzieży do tego sposobu egzaminowania. Wiadomo, że egzamin wstępny stwarza wielkie napięcie nerwowe w młodym człowieku. Zastosowanie zupełnie nowego sposobu egzaminowania mogłoby ten stan jeszcze bardziej zaostriżyć.

Egzaminowanie przy pomocy testów jest stosowane bardzo szeroko w krajach zachodnich (USA, Anglia, Francja). Trzeba jednak pamiętać, że testy są stosowane głównie do sprawdzania wiadomości uczniów lub studentów na bieżąco. Jeżeli jednak chodzi o egzaminy „progowe”, testy stosuje się rzadziej. W Wielkiej Brytanii egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie w zasadzie nie ma — wyjątek stanowią uniwersytety w Oxford i Cambridge. Rolę matury i równocześnie egzaminu wstępnego spełnia tzw. G.C.E. (General

Certificate of Education). Egzamin ten nie ma nic wspólnego z testami. Zakres pytań z fizyki jest natomiast zbliżony do naszych pytań na egzaminie wstępnym. Jest to jednak egzamin pisemny i odpada problem bezpośredniego kontaktu z egzaminatorem. Praca pisemna jest powielana i przesyłana do dwóch egzaminatorów z dwóch różnych uniwersytetów, nie wchodzi więc w grę problem tendencyjnego poprawiania prac. W ten sposób przeprowadzane są wszystkie egzaminy w Wielkiej Brytanii. Jest to sposób bardzo dobry, ale wymagający dużych środków technicznych i długiego czasu. Może w przyszłości można go będzie u nas zastosować, oczywiście przygotowując bardzo starannie zestaw pytań i zadań, aby osiągnąć prawidłowy rozkład ocen, selekcjonujący kandydatów.

Nakreślone przeze mnie uwagi, może miejscami kontrowersyjne, są wynikiem długoletniego doświadczenia (25 lat pracy w Politechnice Wrocławskiej) i dużego zaangażowania w sprawę dydaktyki, szczególnie egzaminów wstępnych. Uważam, że problem rzetelnej selekcji kandydatów (i egzaminów w ogóle) jest sprawą podstawowej wagi i musi być odpowiednio doceniony.

Doc. dr habil.
ANNA SZAYNOK — Instytut
Fizyki Technicznej

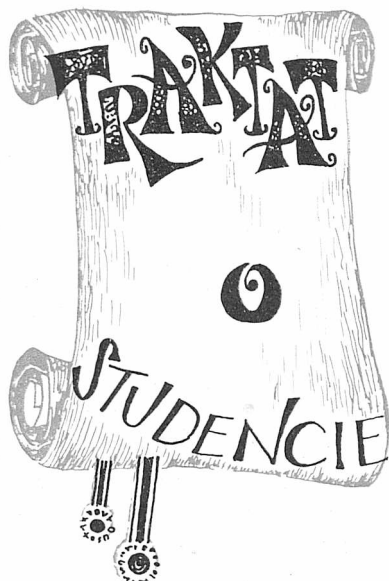
R O Z W A Ż A N I A M A R G I N E S O W E

Student stoi pod dziekanatem i ryczy, bo ma ciężkie życie. Student jest to istota chuda, błada i na wymarcu, mimo to nie ma „Tygodnia Ochrony Studenta”. Studentów jest coraz mniej bo przeważnie umierają z głodu. I to jest ciekawe: studentów jest tym mniej im więcej jest stołówek. Student zamiejscowy egzystuje w akademikach tzn. domach o niespotykanej trwałości konstrukcji i wytrzymałości utrzymywanej non-stop przez remonty.

Student miejscowy — jest to człowiek o niebywalej sile woli i charakteru co pomaga mu skutecznie opierać się zgubnym wpływom rodziny. Student zamiejscowy kontakty z rodziną utrzymuje przy pomocy przekazów pieniężnych — kontakty takie nazywamy jednostronnymi.

Student rozrywa się w klubach studenckich w AZS i DKF (jest to klub dyskusyjny). Jednak tak naprawdę student może się rozerwać tylko na wojsku, gdyż tylko ta instytucja dysponuje godziwymi środkami rozrywki: jak granaty, miny, pociski art. etc.

Atlas był silniejszy niż student, bo dźwigał świat. Student za to dźwiga brzemię no i czasami wychodzi mu rupa. Dlatego student jest chorowity. Student choruje najczęściej w czasie kolokwiów, zaliczeń i egzaminów. Znaczący to, że studia są szkodliwe dla zdrowia. Dlatego też studenci biorą urlopy zdrowotne, a nie dziekańskie —



jak mylnie przypuszcza ogół społeczeństwa.

Student bardzo lubi praktyki. Co prawda rektorat uważa, że niektóre praktyki studentów są niedopuszczalne. Dlatego powstały sądy koleżeńskie, dzięki nim student-człowiek może wygrażyć studenta-wroga. A jak walczyć z wrogiem uczyło studenta Studium Wojskowe. Na ogół jednak student jest

nastawiony pokojowo. Szczególnie w sobotnie wieczory gdy w pokoju umacnia więź ze studentkami.

Student kocha pracę dlatego jeździć lubi na OHP (za granicę). Student jest więc turystą. Turystyka umożliwia łamanie: zakazów regulaminowych na łonie przyrody i zakazów moralnych na innych łonach.

Student kocha dziekana i nie omija żadnej okazji do spotkania z nim (co widać przeważnie w sesji komisyjnej).

Największym marzeniem studenta jest uprawianie sportu. Niestety w miejscach udostępniowych studentowi organizowane są mecze ligowe, zawody żużlowe (Stadion Olimpijski), zawody pływackie (kryty basen), mecze hokejowe (Torpiast) przez bliżej nieokreślone kluby. W związku z tym student ma ze sportem kontakt zmysłowo-bierny, tzn. słyszy o nim lub może go oglądać.

Student, który nie jest studentem to absolwent. A absolwent to obywatel. Obywatel to jednostka subiektywnie istniejąca obiektywnie krytykująca studentów (notorycznie). Całe szczęście, że student neguje istnienie obywateli, a gdy nie neguje, nie zauważa ich i nie przejmują się nimi.

Mamy samych złych i „postrzelonych” studentów, lecz skąd w takim razie biorą się mądrzy inżynierowie, magistrowie, doktorzy...



Zakorzenił się u mnie zły nawyk oceniania określonych instytucji czy organizacji według oblicza ich władz, które do mnie kierują. Mimo szczerych chęci prawy, ciągle przylapuję się na tym. Wszystko byłoby dobrze gdybym patrzył na oblicze władz najwyższych — sęk w tym, że nie — stąd też nie mogę m.in. oprzeć się wrażeniu, że oblicze Rady Zakładowej ZNP jest mi nieprzychylnie. Wrażenie to spowodowało u mnie zupełną obojętność na wdzięki tej organizacji w ubiegłej kadencji jej władz a i obecnie utrudnia odebranie gotowej już legitymacji.

Aby podkreślić niestosowność moich sądów dodam, że w kontemplacji tegoż oblicza jestem wręcz małostkowy i nieambitny. Zapominam mianowicie, że właśnie ta Rada miała niemały pozytywny wkład w zapewnienie właściwej pozycji społecznej wykonywanego przeze mnie zawodu, że dba o wypoczynek, rozrywkę i wiele innych spraw, dotyczących idącej w setki liczby pracowników Politechniki. Sęk w tym, że na wczasy nie jeżdżę bo nie mam punktów za przynależność do Związku a sprawiedliwy komputer sam skierowania nie wystawi — przecież nie on punkty przydziela.

Ja natomiast jem obiady w stołówce pracowniczej i chociaż płacę za nie po 10 zł to patrzę na to co jem za 12 zł, jako że czuję się właścicielem tych 2 zł z państwowego worka. Więc jak tak sobie patrzę to nie mogę zapomnieć, że o mój interes jako konsumenta dba Rada Zakładowa czerpiąc informacje o odczuciach konsumentów poprzez Komitet Stołówkowy.

Jak z nieba spadła na mnie ankieta, w której mogłem napisać wszystko co myślę i czego pragnę. Ponieważ wymagania moje nie były zbyt wygórowane ze spokojem czekałem na wy-

niki. Wreszcie ukazały się — ładnie wymalowane i... omal nie przeplaciłem zdrowiem — i tak już nadwątłym regeneracyjnymi posiłkami — tego co ujrzałem. Ani chybi jestem jakimś odmieniec, bo przecież nie KS nadał tyle ocen, na bardzo dobrze.

Zostałbym zatem zupełnym malkontentem gdyby nie chwila słabości, której przypadkowo doznałem. Pomyślałem sobie: przecież RZ nie jest w stanie nic zrobić skoro stołówka jest przeciążona (wg planów, po wybudowaniu nowej stołówki, urządzi się na miejscu starej zakład dietetyczny na 500 obiadów — obecnie wydaje się ponad 2 razy tyle). Ciasnota tak zaplecza jak i jadalni jest ogromna a i personelu pewnie też brakuje. Rozumiem zatem przyczyny, dla których każdego roku załoga stołówki otrzymuje nagrody i dyplomy uznania.

Byłbym już równie spokojny jak klienci warszawskiego Orbisu, którzy w wyjaśnieniu dokonany na 5 minut przed odlotem samolotu na Korsyke, dlaczego nie pojadą, otrzymali opowieść o trudnych warunkach lokali w tej firmie — gdyby nie sen, w którym objawił mi się Przewodniczący RZ w otoczeniu Komitetu Stołówkowego, trzymający pod pregiertem dyrektora PSS „Społem”.

Przewodniczący czytał:

**ULTIMATUM RADY ZAKŁADOWEJ
ZNP POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ
DO PSS „SPOŁEM”.**

Reprezentując interes członków Związku i ogółu konsumentów Waszej stołówki nr 23 dopatrujemy się spowodowania istotnych, umyślnych szkód moralnych i fizycznych u tychże. W szczególności zaś stwierdzamy:

1. Jakość posiłków jest znacznie gorsza niż w innych podlegających Wam zakładach a wręcz nieporównywalna z daniami stołówki studenckiej „Pod Świnia” (W tym momencie pomyślałem: nie jest to ich stołówka — może coś z tego wynika?).
2. Zauważono, że część pracowników obserwowała zaćmienie słońca przez kotlet schabowy panierowany. Inna grupa konsumentów stawiała zakłady jaka część potrawy mięsnej, nabitej na uniesiony poziomo widelec, nie odpadnie na talerz. Zakładu nie rozstrzygnięto, ponieważ zawsze zostawała jedynie część znajdująca się bezpośrednio nad widelcem, urągając w ten sposób teorii o włóknistej budowie tkanki mięsnej.
3. Obserwacja wizualna steku, rumsztyka, zrazów itp. „precjozów” oraz doznania smakowe (kwas chlebowy), odrywa umysły zaprzątnięte zadaniami produkcyjnymi od spraw zawodowych, zmuszając do dekadentkich rozważań nad ewolucją i integracją potraw kuchni polskiej. Daje się zauważyć stosowanie jednostek powierzchni do określania norm wielkości potraw. W ten sposób dla uzyskania przewidzianej normy powierzchni wielkości np. kotleta schabowego wraz z dwustronną warstwą bułki tartej — należy przy mniejszej ilości surowca, wykonać większą pracę (żmudne tłuczenie do skutku, czyt. granicy „przebicia”). Czynność ta pożera ogromne ilości czasu, który pracownicy mogłyby wykorzystać na przygotowanie dostrzegalnej porcji surowki z bruku (1 kg a 3 zł).
5. „Kotlet zanurzony w bułce traci pozornie na wadze tyle ile wynosi ciężar wypartej przezeń bułki” — oświadczyła szefowa kuchni interweniującemu konsumentowi, wytykając przy okazji nieuctwo i uleganie pozorom.
6. Komitet Stołówkowy zarzuci dotychczasową działalność administracyjną oddając ją w ręce osób bardziej kwalifikowanych. Zaprzestanie on ponadto ścigania pozaczelnianych „czarownic”, wydję z konspiracji (patrz podpis pod każdym ogłoszeniem KS) a zaoszczędzony czas przeznaczony na lekturę „Co każdy działacz wiedzieć powinien”.
7. Nie wyjaśniono dotychczas sprawy zagadkowego pojawiania się około godziny 15.50 (w soboty ok. godz. 15.20) nadzwyczaj urodziwych kotletów schabowych w ilościach wystarczających do wyżywienia kilkunastu rodzin. Dla zbadania problemu powoła się komisję ekspertów.
8. W podsumowaniu powyższego wynaczamy 10-dniowy termin na osiągnięcie wysokiego standardu lokalu III kategorii (jasne, że chodzi o standard rzeczywisty tej kategorii). Do rozliczenia wszystkich dotychczasowych grzechów poprosimy o pomoc PIH. W przypadku dalszego trwania we własnych błędach przekażemy stołówkę innej firmie*). KOMITET STOŁÓWKOWY (podpis czytelne); RADA ZAKŁADOWA ZNP (podpisy — jak zwykle — czytelne).

Obudziłem się niezwykle podniecony ale szybko wróciłem do normy. Takie niestworzone historie zdarzają się tylko we śnie. Zresztą upewniłem się co do tego już po paru godzinach, wstępując do stołówki na obiad. Sen jednak nie daje mi spokoju. Czy rzeczywiście słuszne są moje pretensje do instancji związkowej, czy sprawy ciała mogą

stanowiąc kryterium mojego stosunku do niej? Przecież nie muszę jeść w stołówce, nie muszę być członkiem Związku. Mogę pójść do „Obywatelskiej” i tam denerwować się tym, że przed wejściem pisze iż lokal jest kategorii I. Perspektywa poprawy warunków obiektowych — nowa stołówka — sama nie rozwiąże sprawy. Tam również będzie ta sama firma, podobny chyba Komitet Stołówekowy i —

i obym nie miał racji — te same problemy.

Uzbrojony w Zarządzenie Premiera w sprawie odpowiedzi na postulaty obywateli czekam z niecierpliwością na to co będzie jutro na obiad.

RYSZARD WOJTASZEK

PS. Już po fakcie dowiedziałem się, że członkowie RZ i KS również jedzą obiady w stołówce.

^{*)} Dwa lata temu, wskutek skarg studentów na jakość wyżywienia w stołówkach rozważano koncepcję przekazania stołówek GS. Z wielu powodów istniała nadzieja poprawy sposobu pracy i jakości posiłków. Wówczas przeszkodę stanowił brak koncesji tej firmy na lokalizację swoich placówek na terenie m. Wrocławia. Nie znam przyczyn, dla których o sprawie tej zapomniano, tym bardziej że GS jest już na terenie miasta.

WIELKIE PROBLEMY POLSKIEJ CHEMII

Dnia 10 lutego 1970 roku na ręce Jego Magnificencji Rektora Politechniki Wrocławskiej wpłynęło pismo od Tarnowskich Zakładów Azotowych im. Feliksa Dzierżyńskiego przez byłe Zjednoczenie Przemysłu Azotowego w Krakowie, którego fragment przytaczamy: „Dostarczone nam na bieżąco przez Wasz Instytut (Instytut Technologii Nieorganicznej i Nawozów Mineralnych — przyp. red.) najnowsze osiągnięcia z dziedziny półspalania metanu publikowane w literaturze światowej, dyskusje z Waszymi Naukowcami umożliwiły naszemu personelowi inżyniersko-technicznemu rozszerzyć wiadomości teoretyczne z zakresu półspalania metanu i całego procesu otrzymywania acetyleny.

Niezwykle pozytywny stosunek Waszego Instytutu, a szczególnie bezpo-

średnio współpracujących z nami dra M. Seweryniaka i jego zespołu — ich duża pracowitość, sumienność i chęć nawiązania naukowej dyskusji, skrupulatnych oraz pełne zrozumienie trudności w przekazywaniu zdobyczy ności w przemyśle zyskały uznanie całej naszej kadry inżynierskiej i kierowniczej.

Prosimy uprzejmie Jego Magnificencję Rektora Politechniki Wrocławskiej o wyrażenie uznania i wyróżnienie: prof. inż. Jerzego Schroedera, dr. inż. Mieczysława Seweryniaka oraz jego najbliższych współpracowników. Podpisano: Dyrektor Naczelny mgr inż. Jerzy Olszewski.

A rzecz miała się następująco: Zakłady Azotowe w Tarnowie — Tarnów II mają olbrzymie znaczenie dla gospodarki narodowej ponieważ wytwarzają — jako wyłączny w Polsce pro-

ducent akrylonitrylu, surowiec dla łódzkiej „Anilany” a ponadto polichlorek winylu niezbędny dla przemysłu tworzyw sztucznych; jako produkt uboczny produkowane są nawozy azotowe. Każdy z tych produktów stanowi podstawę do rozwoju innych dziedzin gospodarki. Na uruchomienie Tarnowa II a w szczególności jego głównej inwestycji, instalacji półspalania czekało wiele fabryk, centrale handlu zagranicznego a nawet resorty.

Do wytwarzania tych wartościowych półproduktów niezbędny jest acetylen i wodór. Gazy te otrzymywane są z różnych surowców, jednak ich najtańszym a dostępnym w Polsce źródłem jest gaz ziemny — metan, zaś najekonomiczniejszą metodą otrzymywania jest tzw. półspalanie metanu. Patent na tę metodę posiadała firma włoska „Montecatini-Edison”, która to zaofe-

Fot. J. Olek



rowała Polsce sprzedaż licencji na duże, pracujące metodą ciśnieniową jednostki, o zdolności produkcyjnej 50 ton acetyleny na dobę.

Licencję zakupiono, lecz włoscy eksperci nie potrafili uruchomić sprzedanej technologii.

Nasi inżynierowie opanowali procesy technologiczne, bez czego wielomiliardowa inwestycja byłaby przedsięwzięciem chybionym i spowodowałaby ogromne straty. Udało się rozwiązać niezwykle skomplikowane procesy, wobec których bezradni okazali się specjaliści zagraniczni. Podziwiać jednak należy nie tylko końcowy efekt olbrzymiej pracy lecz przede wszystkim odważną postawę kierownictwa i pracowników Zakładów Azotowych. Na uznanie zasługuje także praca naszych pracowników z Instytutu Technologii Nieorganicznej i Nawozów Mineralnych, którzy wspólnie z pracownikami Zakładów rozwiązywali skomplikowane problemy optymalizacji pracy palników krakingowych, oraz wydzielania i utylizacji odpadowej sadzy. Nowość w pracach tych zespołów polegała między innymi na tym, że próby w skali laboratoryjnej, założenia projektowe, wykonanie i zastosowanie — wszystko co zazwyczaj u nas trwa miesiącami, a nawet latami, było realizowane w ciągu kilku tygodni. Rozwiązania technologiczne i konstrukcyjne zatwierdzane były każdorazowo przez Komisję Rozuchu Technologicznego.

Legenda, która narosła wokół tarnowskiej inwestycji wymaga wyjaśnienia. Rzecz w tym, że Tarnów II został uruchomiony i produkuje. Nie było wprawdzie uroczystego przecięcia węgla ale miliardy nie zostały rzucone w błoto. Tarnów II to nie płatanina rdzewiejącej aparatury lecz żywy organizm produkujący coraz więcej i coraz sprawniej. Nie da się ukryć, że uruchomienie nastąpiło z pewnym opóźnieniem, którego przyczynę stanowiła instalacja półspalania metanu. Pozostałe obiekty zostały wybudowane wcześniej co nie znaczy, że uruchomiono je również w terminie. Podstawową trudnością okazało się uniezależnienie produkcji od uruchomienia prototypowej i niesprawdzonej w działaniu na skalę przemysłową — zakupionej od firmy włoskiej — instalacji półspalania metanu. Przyczyną opóźnienia uruchomienia półspalania tkwiły w całym cyklu inwestycyjnym poczynając od projektu a kończąc na rozruchu. I tu podkreślić należy, że nauka polska a ściślej Politechnika Wrocławska przyszła z pomocą wobec zaistniałych kłopotów, wykazując równocześnie duże zainteresowanie, że strony teoretycznej, rozwiązywanym problemem. W szczególności dużej pomocy przy rozwiązywaniu części palnikowej instalacji udzielił doc. dr inż. Mieczysław Seweryniak wraz ze swoją grupą pracowników (mgr inż. J. Głowińskim, J. Stockim, T. Słonką).

Aktualnie badania te są prowadzone w ramach 5-letniego planu koordynacyjnego problemu węglowego 0335 dotyczącego chemicznej przeróbki gazu ziemnego. Rozwiązywane zagadnienie znalazło również swoje udokumentowanie m.in. w monografii wydanej jako Prace Naukowe Instytutu Technologii Nieorganicznej Nawozów Mineralnych Politechniki Wrocławskiej, której autorami są M. Seweryniak, T. Biały, J. Stocki, Z. Szponarski, dotyczącej pal-

ników do wysokotemperaturowego niepełnego spalania węglowodorów gazowych (prace wydane w 1972 roku).

Ukoronowaniem wieloletniej współpracy z przemysłem było zorganizowanie 10.X.1972 r. trzeciej z kolei Konferencji Naukowej przy współudziale Zakładów Azotowych im. Dzierżyńskiego w Tarnowie oraz Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Przemysłu Chemicznego — Oddziału w Tarnowie. Wspomniana Konferencja poświęcona została tematyce wykorzystania sadzy tworzącej się w procesie wysokotemperaturowego niepełnego spalania gazu ziemnego do acetyleny.

Zagadnienie wykorzystania kilku tysięcy ton sadzy otrzymywanej w skali rocznej jako produkt odpadowy w procesie wysokotemperaturowego niepełnego spalania gazu ziemnego jest problemem bardzo ważnym zarówno ze względu na ochronę środowiska jak i ze względu na zmniejszenie deficytu sadzy w kraju.

Konferencja, w której uczestniczyli przedstawiciele 15-tu zakładów przemysłowych, placówek badawczych i innych instytucji wykazała, że najkorzystniej byłoby wykorzystywać wspomnianą sadzę w przemyśle hutniczym, stosując ją jako dodatek do mas formierskich i czernideł. Zostało to udokumentowane wynikami badań uzyskanymi w Instytucie Technologii Budowy Maszyn Politechniki Wrocławskiej oraz opatentowanymi wdrożeniami w Hucie im. Lenina. Takie postawienie zagadnienia pozwoli ograniczyć do minimum import kilku tysięcy ton grafitu oraz zrezygnować z realizacji drugiej części projektu instalacji odzysku sadzy.

Wygłoszone na Konferencji, przez pracowników Instytutu Technologii Nieorganicznej i Nawozów Mineralnych, referaty stanowią podsumowanie wyników kilkuletnich badań Instytutu nad własnościami sadzy, warunkami jej powstawania w procesie półspalania i możliwościami jej utylizacji.

Zakład Procesów Spalania powołany w 1971 roku a kierowany przez doc. dra Mieczysława Seweryniaka zamierza kontynuować badania nad problemem „Wysokotemperaturowej pirolizy i niepełnego półspalania węglowodorów”. Aktualna tematyka badań i jej stopień realizacji koncentruje się wokół opracowań wdrożenia uzyskanych wyników. W najbliższych latach przewiduje się dalsze prace nad opracowaniem i wdrożeniem płyty palnika dla Tarnowa II, wyznaczeniem optymalnych warunków w pracy instalacji do gaszenia płomienia w palniku przepływowym oraz opracowanie fizyko-chemicznego modelu procesu z niepełnego spalania gazu ziemnego.

W omawianym Zakładzie pracuje dziewięciu pracowników a wśród nich sześć osób z wyższym wykształceniem. Jest to chyba zbyt szczupła warstwa ludzi do podejmowania rozwiązywania tak ważnych problemów przemysłowych.

Na podstawie:

- 1) Przemysł Azotowy, Kraków, I kw. 1968.
- 2) Przegląd Techniczny, marzec 1971, nr 12.
- 3) Materiały I-26.

Opracowała:
STANISŁAWA SZULC

BERTOLD BRECHT

Wielki

Październik

Wielki Październiku klasy robotniczej!
Nareszcie podniosą się ci, co tak długo
Pogńbieni! Żołnierze, wy którzy
Wreszcie karabiny w sprawiedliwą
stronę skierujecie!

Ci, którzy ziemię uprawiali wiosną
Czynili to nie tylko dla samych siebie.
Lato

Zgłębia ich głębiej. Jeszcze plony
Poszły w stodoły panów. Lecz
Październik

Ujrzał już chleb we właściwych
rękach!

Od tego czasu
Świat ma swoją nadzieję.
Górnik w Walii i mandżurski kulis
I pensylwański robotnik, który żyje
pod psem

I niemiecki, mój brat, który im
Jeszcze zazdrości: oni wszyscy
Wiedzą, że jest
Jedyny Październik.
Dlatego nawet samolotom faszystów,
które

Przeciw nim nadlatują z góry,
przygląda się

Żołnierz hiszpańskiej policji
Z niewielką troską.
Ale w Moskwie, sławnej stolicy
Wszystkich robotników
Kłębi się corocznie na Placu
Czerwonym

Niekończący się tłum zwycięzców.
Nad sobą niosą emblematy swoich
fabryk

Wizerunki traktorów i produkty z zakładów tekstylnych

Też i odświeżone snopki z kombinatów
zbożowych.

Nad nimi ich bojowe samoloty
Które zaciemniają niebo, a przed nimi
Ich pułki i czołgi.
Na szerokich transparentach
Niosą oni swoje hasła i
Portrety swoich wielkich nauczycieli.
Transparenty

Są tak przejrzyste, że ich
Treść jest od razu zrozumiała.
Smukłe, na cienkich drążkach
Powiewają wysokie flagi. W bocznych
ulicach

W chwili, kiedy tłum przystaje
Ożywają tańce i zawody. Wesoło
Ciągają tłumy, wielokrotnie pomnożone,
wesoło

Ale wszystkim gnębicielom
Groza.
Wielki Październiku klasy robotniczej!
(1937)

Przekład: Ernest Dyczek

IMPRESJE POWYSTAWOWE

Izohelia

Być może niepostrzeżenie minęła kolejna wystawa fotograficzna izohelii we Wrocławiu. Nie wszystkim bowiem znana jest ta technika fotografii umożliwiająca otrzymywanie na drodze fotograficznej interesujących efektów plastycznych i graficznych a ponadto dająca wykonawcy okazję prawie dowolnego kształtowania końcowego efektu przy kopiowaniu zarejestrowanego przez aparat fotograficzny obrazu. Izohelii warto jest poświęcić uwagę na łamach „Sig-

my” nie tylko ze względu na atrakcyjność tematu, lecz również dlatego, że ta rozpowszechniona dziś szeroko na świecie technika wiąże się z nazwiskiem jej twórcy — byłego profesora Politechniki Wrocławskiej — dra Witolda Romera. Historia izohelii jest ponadto interesującym przykładem narodzin nowej koncepcji artystycznej powstałej na gruncie głębokiej wiedzy technicznej jej twórcy i doświadczenia w pracy badawczej.

Profesor Witold Romer był synem,

światowej sławy geografa i kartografa prof. Eugeniusza Romera, od którego pośrednio wywodzi się koncepcja izohelii. Początki tej historii sięgają pierwszych lat bieżącego stulecia.

E. Romer, znany ze swych niezależnych i patriotycznych poglądów, pomimo uzyskania habilitacji nie był dopuszczony pod zaborem austriackim do stanowisk uniwersyteckich. Uczył geografii w szkołach średnich. W ciągu lat kontaktu z młodzieżą dojrzewały w jego umyśle koncepcje mapy fizycznej



Portret W. Romera.

Fot. B. Kupiec



Góral

Fot. W. Romer

przejrzystej, nie przeładowanej szczegółami a dającej informację ilościową odnośnie rzeźby terenu. Ówczesne mapy posiadały bowiem podstawową wadę — szczegóły były przedstawiane rysunkiem cieniowanym zawierającym dużą liczbę nieodgraniczonych od siebie barw z nałożoną na nie mozaiką grzbietów górskich, dolin itd. W toku wieloletniej pracy dydaktycznej skryształizowała się stopniowo idea projekcji równopowierzchniowej wprowadzająca stosowanie między sąsiednimi poziomkami kolorów płaszczyznowych o znaczeniu ilościowym, tworzących logiczne ciągi barwne, rozgraniczonych subtelnymi ale wyraźnymi liniami warstw.

Tak powstała przyjęta i stosowana do dziś na całym świecie „kartografia romerowska” fizycznych map wielobarwnych.

Poważną trudnością w realizacji koncepcji był niski poziom ówczesnej poligrafii, posługującej się archaicznymi metodami litograficznymi. Zatem warunkiem podstawowym wprowadzenia nowej metody kartograficznej do produkcji było opracowanie i uruchomienie prostszych i tańszych a jednocześnie dokładnych metod reprodukcji.

Przyczyny te skłoniły syna profesora Romera — Witolda, po ukończeniu studiów chemicznych na Politechnice w roku 1924, do zajęcia się zagadnieniami reprodukcji kartograficznej w Książnicy Atlas we Lwowie. W efekcie została opracowana nowa technika druku map umożliwiająca uzyskiwanie rezultatów na poziomie światowym, przy znacznym uproszczeniu samego procesu druku.

Witold Romer od wczesnych lat młodości zajmował się również fotografią amatorską. W okresie późniejszym stała się ona głównym tematem jego prac i zainteresowań. W rzyku pt. „Izohelia” oddanym do druku w roku 1967 na miesiąc przed śmiercią tak pisał prof. W. Romer o swojej pracy nad zagadnieniami reprodukcji kartograficznej (1): „Patrząc co dzień na mapy, obrazujące ukształtowanie powierzchni ziemi za pomocą pól o jednakowej barwie, rozgraniczonych liniami jednakowej wysokości nad poziomem morza (mapy hipsometryczne) pomyślałem o przedstawieniu w podobny sposób obrazów fotograficznych. Pomyślałem mianowicie o wyznaczeniu na polu obrazu, linii o jednakowej jasności i wypełnieniu płaszczyzn między ty-

mi liniami równomiernymi półtonami o jasnościach wzrastających stopniowo, poczynając od najgłębszej czerni a kończąc na czystej bieli.”

Taka była geneza koncepcji powstania izohelii, która dzięki gruntownej znajomości sensytometrii fotograficznej autora wkrótce została zrealizowana i w roku 1932 ogłoszona [2, 3].

Powstanie izohelii przypadło na okres burzliwych dyskusji prowadzonych w środowiskach artystycznych nad słuszością wprowadzania do fotografii artystycznej nowych środków wyrazu, nowych kierunków zwanych technikami swobodnymui, przeciwstawiając je tzw. „fotografii czystej”, wiernie i bez jakichkolwiek korekt rejestrującej obrazy z całkowitym ich autentyzmem i dokładnością. Izohelia była więc przyjęta nie przez wszystkich przychylnie. Trzeba było lat i gruntownej zmiany poglądów, aby w izohelii dostrzeżono jej podstawowe walory a mianowicie ekspresję, nowoczesność, efekty graficzne, które wykonawca może otrzymywać kształtując świadomie walory tonalne obrazu wyłącznie na drodze fotograficznej.

Nie będziemy tu podawać szczegółowego opisu metody. W lapidarnym ujęciu wykonanie izohelii polega na sporządzeniu szeregu kopii pozytywowych z negatywu oryginalnego na bardzo kontrastowym materiale pozytywowym stosując różne naświetlenia. Z uzyskanych pozytywów wykonuje się na bardzo kontrastowym materiale przez kopiowanie stykowe negatywy, służące do otrzymania końcowego obrazu przez kolejne ich kopiowanie na papierze fotograficznym z dokładnym pasowaniem konturów poszczególnych częściowych negatywów, z których każdy reprezentuje jeden ton — jedną izohelę. Izohelie mogą być wykonywane w 2 lub więcej tonach, najczęściej stosuje się 3—5 izohel. Wykonanie poprawnej izohelii jest pracochłonne i wymaga dużej precyzji oraz czystości. W ostatnich latach proces uprościł się znacznie dzięki pojawieniu się na rynku nadzwyczaj kontrastowych materiałów fotograficznych o tzw. wywoływaniu infekcyjnym (materiały typu „lith”), za pomocą których łatwo rozkłada się całą skalę półtonów na poszczególne izohelie.

Dla opracowania w izohelii szczególnie nadają się motywy nie zawierające zbyt wielu drobnych szczegółów rysunku takie np. jak liście, drobne kwiaty, duże grupy ludzi itd. Nadają się tu motywy, które już w myśli możemy podzielić na zwarte płaszczyzny np. krajobraz śnieżny, architektura, często krajobraz rozczłonkowany na plamy przez perspektywę powinną, (góry), przedmioty fotografowane z bliska, kwiaty z dużymi płatkami, portrety zwłaszcza męskie itd.

Bardzo interesujące wyniki uzyskuje się przez kopiowanie opisanych wyżej negatywów częściowych na fotograficznym papierze barwnym przy użyciu różnych filtrów dla każdej warstwy. Obrazy takie zademonstrowali we Wrocławiu S. Jabłonka i K. Czobaniuk. W Związku Radzieckim P. Karpawiczus z Kowna opracował modyfikację barwną izohelii nazywając ją izopolichromią (4).

Izohelia znalazła również zastosowanie techniczne a mianowicie do pomiaru rozkładu luminacji na płaszczyźnie. Stosowali ją K. Greif (5) oraz Callender (6).

W roku 1957 odbyła się we Wrocławiu wystawa izohelii zorganizowana

z okazji 25-lecia ogłoszenia tej techniki. Okazało się, że napłynęło osiemdziesiąt prac z 6 krajów co świadczyło o szerszym zainteresowaniu izohelią w Polsce i za granicą. Od tego czasu co parę lat organizowane są wystawy izohelii dające okazję do przeglądu rozwoju tej techniki na świecie, a nam wrocławianom (zwłaszcza ludziom zwią-

zanym z Politechniką) przypominają również człowieka, który ją stworzył.

ADAM ZALESKI

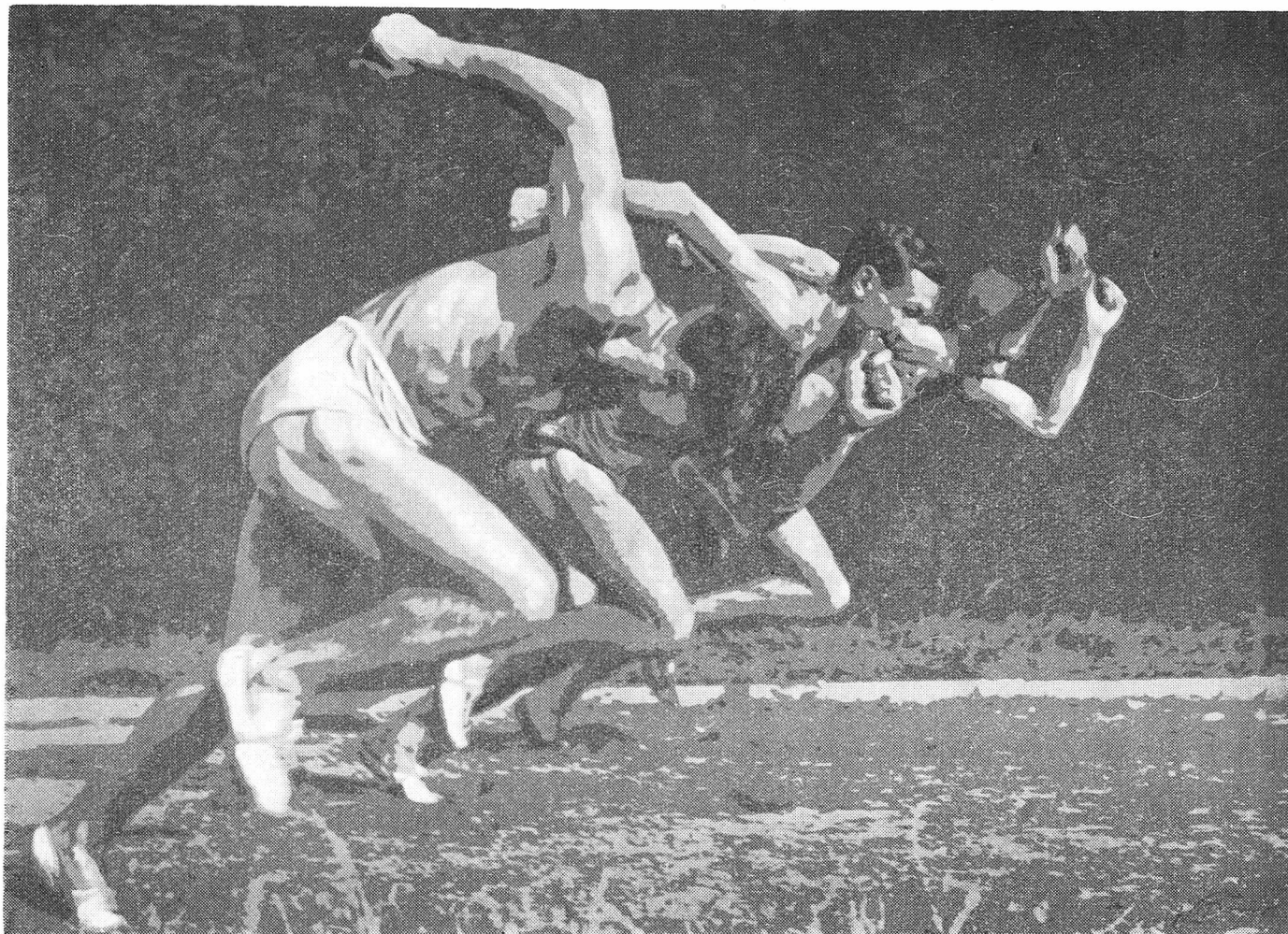
1. W. Romer, „Izohelia“, Fotografia, 7, 148, 1967
2. W. Romer, „Izohelia“, Kamera Polska marzec 1932, str. 36
3. W. Romer, „Isohelie. Eine neue Technik

der Bildmassigen Photographie“. Camera 10 nr 9 str 219, Luzern, 1932.

4. Karpawiczus, „Izopolichromia“ Sowiet-skoje Foto nr 9, 1958
5. H. Greif, „Die Erzeugung von Licht-dichte Niveaulinien in photographischen Aufnahmen“, Wiss. Z. Hochschule Ilmenau 3, 241, 1959
6. R. M. Callender, „Two Photographic Techniques Applied to Lighting Research“, Brit. Phot. Journ., 636, 1961

Start

Fot. W. Romer



Wiersze

No i nie udał mi się taki wiersz:
Śmiechu, ptaków, ni deszczu; nas w
nim nie ma też.

WŁADIMIR SOKOŁOW
Tłum. z ros.
— esde.

ROZMOWA Z DIOGENESEM

— Kogóż to mędrce szukasz z lampą?
— Powiem wam, szukam człowieka.
— Czyżby nie można znaleźć go w
Atenach?
— Trudniej, niż się wydaje. On —
ukryty.

— Gdzie iść zamierzasz, gdzie odchodzisz?

— Nie wiem... skazany na tułaczkę.
— Czemuż twój los tak bezlitosny?
— Szukam człowieka wszędzie; za to.

Drzewo pamięci
Z każdym rokiem
Coraz to cięższe od owoców.
Wiotkie gałęzie,
By się nie złamały,
Podpieram sobą.
Gną się ku ziemi jednak,
Wszystkie gną się...

MAKSIM TANK
Tłum. z ros.
— esde.

A ja, chciałem wiersze szanować,
A ja, chciałem grzechy odpokutować,
A ja, chciałem o tym zaśpiewać,
Jak kołyszą się pod nocnym deszczem
drzewa.

A ja, chciałem wiersze szanować,
A ja, chciałem grzechy odpokutować,
Tak wiele ich, że nie wiem już sam,
A ja, chciałem wiersz przeczytać wam,
O locie ptaków i o wiatru śpiewie,
O jasnym śmiechu ukrytym za drze-
wem.

Z notatek



Wiktor Musiał

Na temat tego, czym dla różnych ludzi bywa astrologia, mowa była już w poprzednich artykułach. Jak zwykle, najlepiej traktować astrologię i horoskopy na wesoło, z przymrużeniem oka, jako że wtedy zawsze spełnia się tylko to co dobre.

Kontynuując wykład Arkanu Dru-giego na temat tabeli planet w Wiel-kim Młynie Szczęścia wypada zapre-szentować obecnie pozostałe ciała z pla-netarnej jedenastki przez scharaktery-zowanie ich wpływów i nastrojów. W poprzednim artykule opisane zostały: Księżyc, Mars, Merkury i Jowisz, na-tomiast w niniejszym przedstawione zostaną: Wenus, Saturn, Słońce, Zie-mia, Uran, Neptun i Pluton.

(5) Wenus. Wenus, planetę żeńską symbolizowało lusterko, nieodłączny atrybut mitycznej bogini miłości i pięk-ności. Babilończycy zwali ją Isztar. Po-jawia się ona na przemian już to jako Gwiazda Poranna, już to jako Gwiaz-da Wieczorna. Przez całe lato i jesień świeciła jako Gwiazda Poranna. W grudniu również świeci przed wzej-sciem Słońca na wschodnim horyzoncie w towarzystwie Marsa. Liczba magiczna: 5, dzień tygodnia: — piątek, kolor zielony, aforyzm astrologiczny: (5), znaki zodiaku: Byk i Waga.

(6) Saturn. Saturna w mitologii sym-bolizuje starożytna kosa, znak boga czasu. Saturn jest poważny i zimny. U Babilończyków odpowiednikiem Sa-turna była Ninurta, bogini wojny. Ciężka muzyka Saturna odbywa się w bardzo niskich rejestrach tonacji G-dur. Liczba magiczna: 6, dzień tygodnia: sobota, aforyzm astrologiczny: (6), znaki zodiaku: Koziorożec i Wodnik. Przez całą zimę widoczny będzie na tle znaku Bliźniąt tzn. na tle gwiazdo-

zbioru Byka (w związku ze zjawiskiem precesji, która według niektórych ma pozbawiać aforyzmy astrologiczne ich pierwotnej wartości, czemu należy sta-nowczo zaprzeczyć), dlatego kto nie za-opatrzył się dotychczas w opał, ciepłe buty i płaszcz, winien to uczynić jak najwcześniej.

(7) Słońce. Liczba magiczna: 7, dzień tygodnia: niedziela, aforyzm astrolo-giczny: (7), znak zodiaku: Lew.

(8) Ziemia. Zdaniem Keplera, mo-tyw muzyczny ziemi wyznaczają trzy kolejne nutki: g, as i g, leżące zapew-ne w tonacji Es-dur lub c-moll, w któ-rej raz śpiewa, to znów pojękuje Zie-mia. W tonację Es-dur zaopatrywał Mozart swoje kompozycje wolnomular-skie. Uwertura do „Czarodziejskiego fletu” (wystawionego w 1972 roku w Operze Wrocławskiej) zaczyna się w tonacji Es-dur i w tej też tonacji skomponował Mozart w 1788 roku sym-fonię, którą jeden z romantyków na-zwał „Łabędzim śpiewem”. Liczba ma-giczna planety: 8, aforyzm astrologicz-ny: (8), znak zodiaku: Lew. Notabene: prawie jedną dziesiątą ludzkości na kuli ziemskiej stanowią ludzie urodzeni pod znakiem Lwa, co w skali dwuna-stu znaków zodiaku daje temu znako-wi ilościową przewagę. To z kolei ozna-cza, że ludzkość jest na jak najlepszej drodze do bogactwa, luksusu i dobro-bytu. „Kto ma Słońce w znaku Lwa — pisał Cardano — ten nie umiera w ubóstwie.”

(9) Uran. Urana odkrył urodzony w znaku Skorpiona angielski kompozytor i organista katedry w Westminster, Sir Frederick William Herschel (1738—1822), astronom amator, któremu w obserwacjach i obliczeniach towarzy-szyła jego córka.

Uran ma być planetą burzycielsko-wywrotową — według nowożytnych astrologów. Okrąża słońce przeszło dwukrotnie dłużej niż Saturn. Liczba magiczna: 9, aforyzm astrologiczny: (9), znak zodiaku: Wodnik. Obserwować można Urana wczesnym rankiem, w miesiącu grudniu gołym okiem jako gwiazdkę 6 wielkości na tle gwiazdo-zbioru Panny. Nie wróży on jednak w ciągu najbliższych lat specjalnie ja-kichś ciekawych burz czy wywrotów. Aprubuje raczej status quo i każe lu-dziom grzecznie przystosowywać się do prozaicznych sytuacji.

(10) Neptun. Neptuna z kolei odkrył zawodowy francuski astronom Jean Joseph Leverrier (1811—1877). Neptun jest planetą jeszcze powolniejszą. Sta-rożytny władca mórz oddziałuje w po-wiązaniu z Wagą i ma swój wpływ na system nerwowy oraz na aurę ludzi sceny, filmu i telewizji. Jest planetą geniuszy w dziedzinie sztuk. Liczba magiczna: 10, aforyzm astrologiczny: (10), znak zodiaku: Ryby. Jego wpływ wyrażał się między innymi w podró-żach morskich i odkryciach geograficz-nych. Obecnie znajduje się on na tle gwiazdozbiorów Wężownika i Skorpio-na wśród gwiazd 8 wielkości.

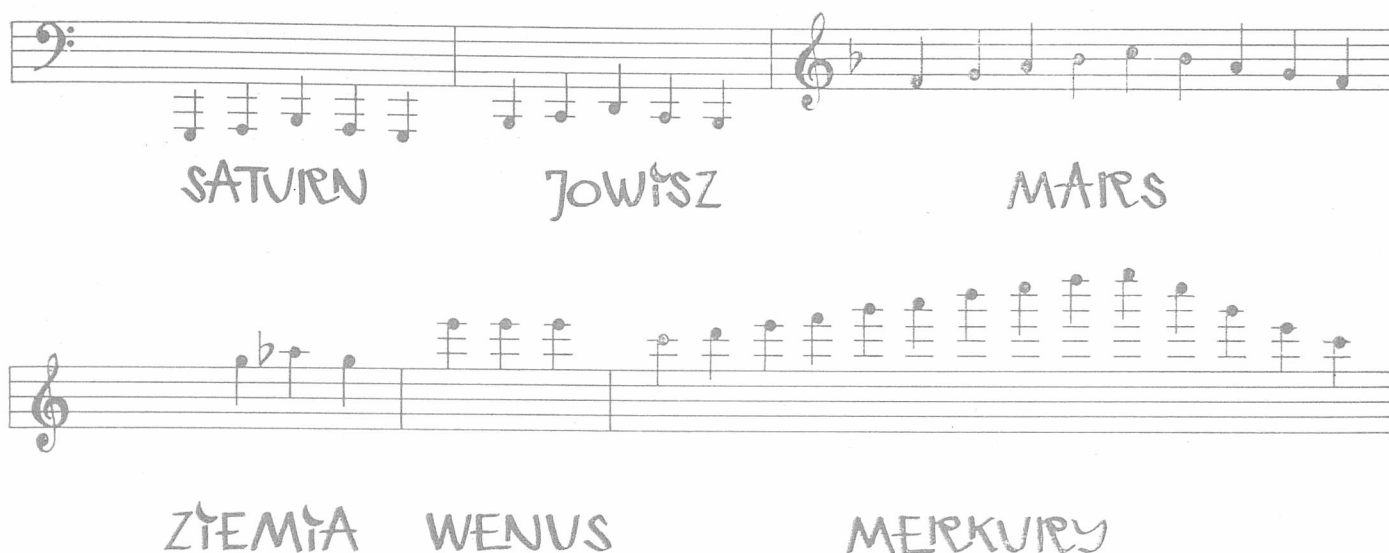
(11) Pluton. Mała ta planetka naj-wolniej oblatuje Słońce, bo w ciągu 247,7 lat. Zapewnia ona długą i bly-skotliwą karierę w polityce i dyploma-cji, urodzonym głównie w znaku Koziorożca. Liczba magiczna: 11, afo-ryzm astrologiczny (11). Pluton widocz-ny jest nad ranem na granicy gwiazdo-zbiorów Panny i Warkocza Bereniki, ale dostępny jest tylko przez wielkie teleskopy.

Kepler dopuszczał istnienie tylko 6 planet i jako astronom nie nazywał pla-netami Słońca i Księżyca, co czynią do dziś astrologowie, zaliczając Słońce i Księżyc do planet, podobnie jak spo-ro laików planety uważa za gwiazdy. W dziele „Harmonices mundi ...”, 1619, stwierdził Kepler, iż planety mają swoją muzykę: poszczególne tony, to-nacje muzyczne, powszechne współ-brzmienia harmoniczne i kontrapunkty, a także 4 rodzaje głosów: sopran, kontralt, tenor i bas wyrażają się przez poszczególne planety. Muzyka planet według dzieła Keplera „Harmonia Świata” przedstawiona została na ry-sunku 1.

Wpływy planetarne obliczone za po-mocą magicznych metod Czarnej Ko-ta i Wielkiej Korby Koła Zodiaku dla 12 znaków przedstawiają się w miesi-ącu grudniu jak na rysunku 2.

Sposób odczytania horoskopów z ko-stek za pomocą liczb jest bardzo pro-sty a podany został w pierwszym nu-merze „Sigmę” bieżącego roku w związku z cmówieniem Arkanu Pierw-szego.

Komentarz. Miesiąc grudzień, jest szczególnie ważny i ciekawy dla zna-ku Bliźniąt. Jest miesiącem pełnym wielkiego rozmachu dla tego znaku. Warto napomknąć, że Znak Bliźniąt daje właścicielowi horoskopu wybitne zdolności handlowe, artystyczne oraz intelektualne, darzy doskonałą wymo-wą oraz pełną godności prezencją. Dzieci typu Bliźniąt są bardzo ruchli-we, jednak od zabawek, od najmłod-szych lat wolą czytanie książek. Waż-ny jest dla nich odpowiedni dobór lektury. Ciekawość, żądza wiedzy i skłonność do zadawania pytań pozo-staje u nich niemal przez całe ży-cie. W wypadku kłopotów w tym



Rys. 1

względnie, astrolog J.R. w swojej broszurze pt. „Astrologia i wychowanie” (Cieszyn 1937, Nakładem „Hejnalu”) radzi, by stosować do tych dzieci zasadę: mniej mówić więcej myśleć. Wrodzonej im odwagi nie należy u nich niszczyć, nie tolerując jednak zuchwalstwa i lekkomyślności. Najlepsze zawody dla urodzonych w tym znaku to: handlowiec, podróżnik, mówca, prawnik, dziennikarz, literat, artysta mu-

zyk, nauczyciel wychowania fizycznego, pedagog, uczony, księgarz, pracownik poczty i kolei. Z ciekawych ludzi w znaku Bliźniąt urodzili się: Teliga, Maria Konopnicka, Józef Elsner, Igor Strawiński, Dürer, John Kennedy, Robert Schumann i Ryszard Strauss, Ryszard Wagner. Dzień tygodnia: środa, liczba magiczna: 3, planeta: Merkury. Do znaku Bliźniąt należą urodzeni między 21 maja a 21 czerwca oraz urodze-

ni w pozostałych miesiącach pod warunkiem, że bądź to na wschodnim horyzoncie był znak Bliźniąt w chwili urodzenia bądź większość planet była w tym znaku, bądź w tym miejscu był po prostu Merkury.

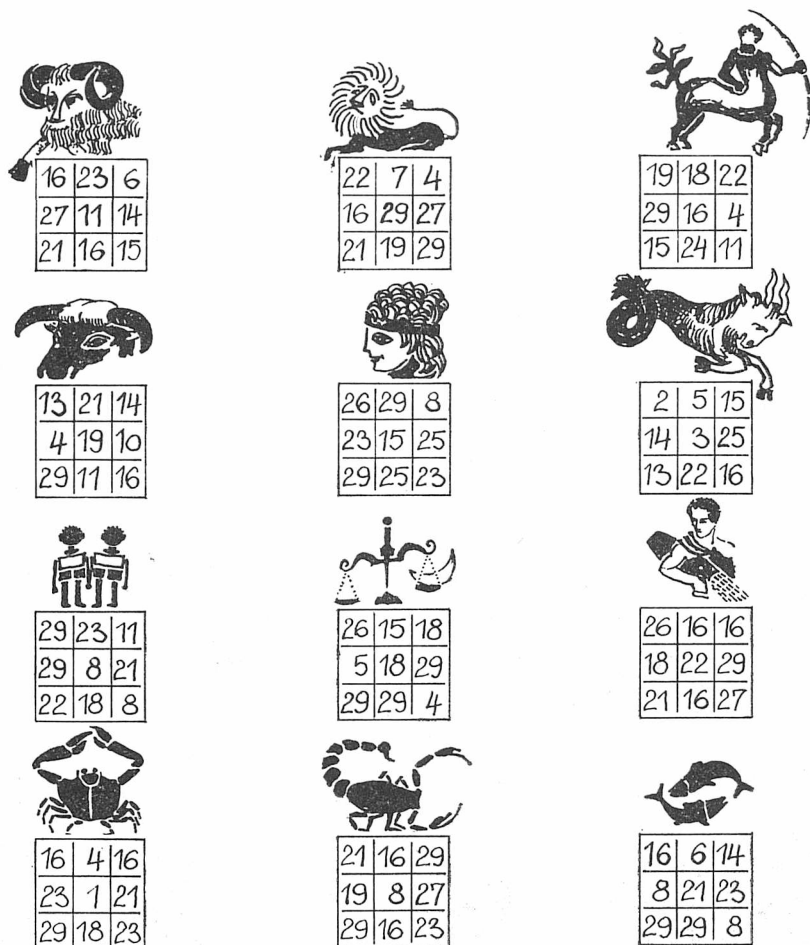
Liczbami dodatkowymi dla urodzonych w miesiącu czerwcu są: dla pierwszej dekady czerwca (1—10.VI) na pierwszą dekadę grudnia: 17, na drugą dekadę grudnia: 3, na trzecią: 14. Dla urodzonych w drugiej dekadzie czerwca (11—21.VI) w pierwszej dekadzie grudnia jest liczba 14, w drugiej: 24, oraz w trzeciej: 14. Dla urodzonych w dniach od 22 czerwca do 2 lipca liczbami dodatkowymi są: w pierwszej dekadzie grudnia: 12, w drugiej dekadzie grudnia: 17, oraz w trzeciej: 6.

Dobrze się przedstawia horoskop (a może lepiej nawet niż dobrze) również dla znaków wycieczek w czasie letnich ferii. Ci którzy latem pracowali bardzo intensywnie, a należą do nich zwłaszcza urodzeni w znaku Byka i Koziorożca a także w znaku Barana mają raczej horoskop średni. Zwłaszcza urodzeni w znaku Koziorożca winni zwrócić większą uwagę na zdrowie, wypoczynek i odpowiednie towarzystwo.

Bieg spraw uczelni zaakcentowany będzie w miesiącu grudniu głównie w pierwszej dekadzie, w której horoskopy wyznaczone są przez liczby: 21 i 2 (sprawy zewnętrzne) oraz 24 i 13 (sprawy wewnętrzne). Dekada druga wnosi liczby 16 i 7 oraz 21 i 11, natomiast w dekadzie trzeciej będą w grę wchodzić aforyzmy oznaczone liczbami: 29 i 15 (sprawy zewnętrzne — wszyscy poza uczelnią) oraz 26 i 7 (sprawy wewnętrzne — uczelnia opustoszała z powodu ferii i świąt).

Kończąc wykład horoskopii na miesiąc grudeń życzyć Czytelnikom Wesołych Świąt oraz przyjemnej zabawy w astrologa w rodzinnym gronie w czasie świątecznych ferii. Gdyby w oparciu o dotychczasowe wykłady astrologii nie udało się przepowiedzieć przyszłości, wówczas można stawiać horoskopy wstecznobieżne. Niektóre z nich sprawdzą się w październiku, listopadzie i grudniu 1973 roku.

WIKTOR MUSIAŁ



Rys. 2



O miejsce na ziemi

Andrzej Jaworski
i Małgorzata Michalak

Dziewczyna jest zrozpaczona. „No i co ja mam zrobić Panie szefie?” Patrzy bezradnie, a buzia już składa się w podkówkę. Sytuacja jej jest rzeczywiście niewesoła. Już od dwóch tygodni trwa rok akademicki a ona nadal nie ma gdzie mieszkać. Pieniądze się skończyły, coraz mniej realne są szanse na uzyskanie prywatki. W Biurze Mieszkaniowym RO ZSP, które podjęło na pół charytatywną akcję poszukiwania prywatki dla studentów, już od 15 września kompletne puchy. Wrocławianie niechętnie udzielają Zakom miejsca pod swym dachem. Jeżeli już się decydują na wynajęcie pokoju to raczej studentom. Ale dziewczyna? —

Wiadomo, i pierze i... myje się często, po co kłopot? Ceny prywatki dawno już przekroczyły oficjalny pułap 350 zł, jaki wyznaczyło ZSP. Jest popyt, a więc czemu nie zarobić więcej? Każdy MUSI gdzieś mieszkać, a ponieważ MUSI więc zapłaci, 800, 1000 zł. Walka o byt. Słabszy i biedniejszy odpadnie.

Te ze starszych lat miały trochę łatwiejsze zadanie. Wcześniejsze doświadczenia nauczyły je, że o prywatkę trzeba zabiegać już w czerwcu. Zapłaci się PO PROSTU za miesiąc wakacyjne i sprawa na październik z głowy.

Gorzej z pierwszoroczniczkami. Nawet te, którym ze względu na niskie uposażenie akademik przysługiwał, miejsca w nim nie otrzymały. Przyczyna? — prosta. Politechnika jak wiadomo dysponuje w tej chwili tylko jednym żeńskim akademikiem (gwoździ ścisłości — tylko jedną częścią Parawanowca). Konsekwencją tego faktu były falangi dziewcząt, które od 1 października wypełniały szczególnie pomieszczenia Pionu d/s Studenckich, RU ZSP i innych instytucji, ze strony których mogły się spodziewać jakiejś pomocy. „Co robić?” — Już dwa tygodnie mieszkam w hotelu „Odra”, pieniądze mi się skończyły, czy mam zrezygnować ze studiów?” Tego typu pytania w różnych wariantach, często skrapiane łzami, padały po kilkanaście razy dziennie.

* * *

Padają, mimo rozpaczliwej decyzji podjętej przez kierownictwo Uczelni o zagęszczeniu Akademika.

Zdecydowano się na to w chwili, kiedy wiadomo było, że pertraktacje z innymi uczelniami nie dały rezultatów. Może pośpiech związany z zaistniałą sytuacją tłumaczy, że nie została dopięta sprawa zaadaptowania pokoiów 3 na czteroosobowe. Nadal stoją w nich po trzy szafy, z których muszą obecnie korzystać cztery dziewczyny, (a które to szafy stały się centralną kością niezgody). Dowieziono tylko po jednym tapczaniku, co ostatecznie zagrabiło i tak już ciasny pokój. Nie ma na razie funduszy na składane mebelki.

Życie i nauka w tych warunkach nie są najłatwiejsze. Tym bardziej, że na... osobowy akademik, jakim jest Parawanowiec przypadają cztery 12-osobowe pokoje do nauki oraz 2 kreslarnie. O 100% zostały przeciążone normatywy urządzeń sanitarnych. Wszystko to jednak lepsze, niż mieszkanie pod gołym niebem.

* * *

Decyzja o zagęszczeniu, choć była przysłowiowym krzykiem rozpacz, nie rozwiązała ostatecznie problemów mieszkaniowych studentek. Objęła ona zresztą obowiązkowo tylko pierwsze lata studiów, a pozostałe, na zasadzie dobrowolności. Dziewczyny mogły się zgodzić na dokwaterowanie koleżanki, ale nie musiały. A ponieważ nie musiały, więc nie odniosły się do tego projektu z entuzjazmem. I nie ma się czemu dziwić, ani dopatrywać się w tym społecznej postawy. Zrozumieją to wszyscy ci, którym dane było spędzić chociaż parę dni w ciasnym pokoiku Parawanowca, zaadaptowanym dla czterech osób.

* * *

W chwili, gdy piszemy ten artykuł, wysuwanych jest szereg propozycji poprawy sytuacji mieszkaniowej studentek Politechniki. Nie wiemy czy zostaną one zrealizowane, czy uda się ominąć bariery finansowe i inne. Faktem jest jednak, że coś trzeba zrobić, przeciąć ten wrzód, jeszcze przed oddaniem Politechnice nowego kompleksu Domów Studenckich. Bo chociaż wszyscy zdają sobie sprawę z trudności i doceniają starania Władz Uczelni, to jednak aby studiować trzeba mieć gdzie mieszkać. Proponuje się więc przekwaterowanie... stażystek z Parawanowca i udostępnienie ich pokoi studentkom. Szanse realizacji tego pro-



„Parawanowiec”. Trzyosobowy pokój zaadaptowany na czteroosobowy. Fot. P. Sobolewski



„Parawanowiec”. Pokój do nauki dla 16 osób, praktycznie mieszczący 6 osób.

Fot. P. Sobolewski

jektu, który by zapewne ucieszył i usatysfakcjonował wszystkich, są jednak nikle ze względu na to, że Uczelnia nie dysponuje żadnymi wolnymi mieszkaniami zastępczymi. Dużo szczęśliwszym wydaje się projekt

przekazania części jednego z akademików męskich — dziewczętom.

Sytuacja studentów z naszej Uczelni nie jest tak tragiczna. Do dyspozycji ich oddanych jest kilka domów akademickich. Piętro czy fragment bu-

dynku dla dziewcząt można by, przy pewnej dozie dobrej woli, wygospodarować, przeprowadzając z kolei zagęszczenie w akademikach męskich. Jako konkretne rozwiązanie tego rodzaju proponuje się T-3. Oddając jednak jedno piętro do dyspozycji studentek trzeba by „TEK” połączyć korytarzem z Parawanowcem, aby dziewczęta mogły korzystać z urządzeń sanitarnych w tym budynku. Trzeba by również rozwiązać sprawę pokoju do nauki.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w T-3 znajduje się klub Pasak, który z chwilą oddania nowej stołówki przestanie służyć jako sala jadalna i można go będzie przerobić na pokój do nauki i kreślarnię. Koedukacyjny Akademik wymagałby również dwóch oddzielnych portierni co wiąże się z koniecznością zapewnienia dodatkowych etatów. Ze wszystkimi tymi sprawami wiąże się równocześnie sprawa dodatkowych kosztów, którym Uczelnia może nie być w stanie poddać (już w chwili obecnej tegoroczny budżet na Domy Studentek został przekroczony o milion zł).

Problemy nie są więc proste, trudności piętrzą się z każdym dniem. Liczymy jednak na to, że gdy będziecie czytać ten artykuł, coś w tej sprawie zmieni się na lepsze.

ANDRZEJ JAWOROWSKI
i MAŁGORZATA MICHALAK

* * * * *

Fot. W. Kubica



WIELKIE WYDARZENIE

CZY

GENERALNA KLAPA?

Wojciech Kozak

Ponad rok minął od chwili, gdy w sali Teatru Polskiego we Wrocławiu padła ze sceny tradycyjna formuła otwierająca każdy festiwal, tym razem — dwa festiwale: III Międzynarodowy Festiwal Festiwalu Teatrów Studenckich oraz V Festiwal Kultury Studentów Polski Ludowej. Powołano, oczywiście, Komitet Festiwalowy. Podzielono funkcje i tytuły — i machina poszła w ruch. Od tego momentu wszystko odbywało się w ramach — festiwalu oczywiście. A więc były i Łódzkie Spotkania Teatralne i Jazz nad Odrą, i Festiwal Filmów Studenckich, i Fama 72, i inne. Szarej braci żakowskiej V Festiwal kojarzył się głównie z mającym nastąpić we Wrocławiu Wielkim Finałem, który miał być imprezą jedyną w swoim rodzaju, niepowtarzalną i bombową. Z początkiem lata Machina Festiwalowa włączyła drugi bieg — powstało bardzo rozbudowane Biuro Organizacyjne Festiwalu, Biuro Prasowe, zaczęły ukazywać się biuletyny. Wydawać by się mogło, że tym razem wszystko będzie ok., czyli zapięte na tzw. ostatni guzik. A jak było — o tym niżej.

W ostatnim, przedfestiwalowym okresie w uczelnianych komisjach kultury wrzało. Wszelkie działania podporządkowano temu jednemu Wielkiemu Celowi. A wśród zwykłych zjadaczy kultury zaczęto przebąkiwać nieśmiało o biletach na tę ucztę intelektualną (nieśmiało — wszak dobrze wiemy, że za strawę duchową trzeba płacić nie gorzej niż za cielesną; jak wkrótce mieliśmy się przekonać, ceny były wręcz „idealnie” dopasowane do tzw. studenckiej kieszeni — chociażby występ Jonasza Kofty — skromne pięć dych). Gazety pisały o możliwościach nabycia ich np.

w Orbisie lub Stubilu. I trzeba przyznać, że myliły się tylko częściowo. W Orbisie biletów nie widziano, w Stubilu były wprowadzanie krótko, ale kolejek takich na parterze naszego Gmachu Głównego nikt dawno nie oglądał. W końcu większość studentów miała już w kieszeni jakieś bilety, niektórzy nawet na te imprezy, które sobie z programu wybrali. Wtedy już całe miasto zaczęło przybierać festiwalowy (a więc odświętny) wygląd. Na Świdnickiej — girlandy kolorowych żarówek takich samych jak przy innych odświętnych okazjach, tylko nie świecących prawdopodobnie w celu aby było bardziej oryginalnie. Na ulicach, placach, w pobliżu miejsc festiwalowych postawiono trójkątne ostrosłupy z płyty pilśniowej w kolorze kanarkowym. Wkrótce potem odkryłem, że miejscem powstania tych „arcydział” był plac między T-3 a T-4 co wskazuje na to, że twórcami byli niestety, nasi studenci.

Ale przejdźmy do samego Finału. Program aż pękał w szwach od imprez i nazwisk. Nawet przy maksymalnym wysiłku niemożliwością było zaliczenie wszystkich koncertów i spektakli. Zamiarem organizatorów było ponoć położenie szczególnego nacisku na tzw. imprezy wiodące, lapidarnie określone w programie jako „opracowane według specjalnego scenariusza”. Pierwszą tego typu imprezą był koncert inauguracyjny we wnętrzu upstrzonej sloganami Hali Ludowej. Jak ktoś trafnie określił miał to być „bryk kultury studenckiej”, zapewne przygotowany z myślą o różnych Dostojnych Gościach, którzy ów koncert swą obecnością zaszczylili, dowodząc tym samym poparcia dla kulturalnego ruchu studenckiego. Zaserwowano im więc folklor w pigułce

(zespół „Skalni”, Zespół Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej, „Słowianki”), nieco tańca nowoczesnego („Kontrast”), śpiewy chóralskie (Chór Politechniki Szczecińskiej), nawet rock w nie najlepszym wydaniu, no i oczywiście piosenkarzy „studenckich” m.in. E. Jodłowską, M. Umer, J. Koftę, J. Stanisławskiego. Było też nieco pompatycznej recytacji. W sumie szalenie sztywno, oficjalnie i niestudencko. Czy rzeczywiście tak ma wyglądać owa tajemnicza nieznajoma „kultura studencka”?

Innym przykładem imprezy masowej był „Non Stop Show” w Operze. Też krótki przekrój przez kulturę studencką. Tu już wszystko nawaliło. Epidemia późniałstwa (do tego jeszcze wrócić) nie ominęła nawet Opery. Zgromadzony tłum studentów, niestudentów i osób towarzyszących musiał cierpliwie swoje pół godzinki odczekać, zanim został poczęstowany... żywą kurą. A potem — cóż różnie było. Krzysztof Materna, który został studenckim Kydryńskim zapowiadał wciąż inne znane nazwiska, dopóki na estradzie nie zapanował — prezentując bardzo niski, ale za to jak głośny poziom — zespół „Nirwana”. Należało się tylko domyślać, że to właśnie ten zespół, bo dziwnym trafem nazwa jego jakoś umknęła wśród hałasu. Potem jeszcze Kofta (podczas występu Kofty do „głosu” doszły różne nieodpowiedzialne elementy z któregoś tam balkonu, ale znakomity Jonasz jakoś sobie z tym poradził), Młynarski (student...), balet „Kontrast” oraz Janusz Laskowski.

Ogólny poziom imprezy w Operze bardzo zróżnicowany okazał się być jednak nieczym w porównaniu z arcyńskim poziomem jej zorganizowania. Dochodziło do niezbyt wybrednego wyrzucania publiczności z sali, do dantejskich scen przed wejściem do Opery, niemalże do interwencji milicji. Na zapleczu panował bałagan maksymalny, nikt właściwie nie wiedział kiedy i czy w ogóle wystąpi, nie było nikogo, kto by panował nad sytuacją. Balet „Kontrast” siedział ileś tam godzin rozebrany (dosłownie) czekając na wezwanie na scenę (które nastąpiło znacznie później niż się wszyscy spodziewali), niektórzy wykonawcy po prostu... szli do domu, mrucząc pod nosem niezbyt parlamentarne słowa pod adresem organizatorów. Niżej podpisany też w końcu miał dosyć i zapragnął iść do domu, okazało się, że nawet to nie było zbyt łatwe, ale w końcu się udało. Bez żalu opuściłem przybytek wrocławskiej Polihymnii, w którym osiągnięto szczyt bałaganu lub, jak kto woli, dno organizacyjne.

Ostatnią wielką imprezą było zakończenie Finału w Hali Ludowej. W programie m.in. koncert z Jazz Jambore pt. „Komeda Story” (namnożyło się tych... story w Polsce, oj namnożyło!). Był to koncert dla uczestników festiwalu z udziałem czołówki naszego jazzu. Zaprezentowano tu nareszcie wysoki poziom. Rzeczywiście było czego posłuchać. Najlepszym bez wątpienia punktem programu był występ kwintetu Namysłowskiego.

Tyle o imprezach — gigantach, które stały się najbardziej wykspontowanymi, niestety, tylko z racji ilości biorącej w nich udział widzów.

Ale były i bardziej kameralne imprezy, choćby kabaret piosenki „Z okazji...” w studio Polskiego Radia. Wykonawcy przeważnie bardzo dobrzy — M. Umer, E. Jodłowska, J. Kaczmarek i inni. Program prowadził, oczywiście, K. Materna tudzież J. Kleyff and Co.

Ci ostatni mocno przesadzili, bawiąc się w telewizję i wprowadzając często wcale nie dowcipny balagan. A piosenki wciąż te same, co na innych imprezach.

Wieczór kabaretowy w teatrze Współczesnym, to tylko dwa kabarety — „Pod Budą” i „Elita”. Kabaret „Pod Budą” zaprezentował swój znany z telewizyjnej transmisji z Famy 72 program „Tyle ruchu a tu stop...” czyli skrzyżowanie Kierdziołka z Wesołym Autobusem, przykład złego smaku, humoru pod publiczność, która zresztą rzeczywiście śmiała się z co bardziej płaskich dowcipów. Zupełnie nie mogę pojąć dlaczego właśnie temu kabaretowi przyznano I miejsce na Fami i nikt mnie nie przekona, że tak właśnie wygląda humor studencki. A „Elita” — no cóż, nikogo właściwie już niczym nie zaskoczy, choćby dlatego, że od czasu, gdy zagościła na stałe w III programie PR wszyscy znają prawie na pamięć jej najlepsze (i nie tylko) numery (sztosy — jak mawia Jan Kaczmarek), toteż przydługawy trochę program nieco nużył, a znakomite piosenki (np. „Herbacyany walc Milonga”) ginęły w powodzi niepotrzebnej gadaniny.

Nieco niezauważone pozostały wystawy festiwalowe („Sztuka aktualna”, „XXV lat studenckiej prasy wrocławskiej”, fotoreportarz Fama 72), z których na największą uwagę zasłużyła pierwsza we Wrocławiu (a chyba i w kraju), wystawa grafiki Jana Sawki i Eugeniusza GETA-Stankiewicza. Dobrze, że wreszcie ktoś zdecydował się na tę wystawę, zapewne wbrew sprzeciwom wielu zatwardziałych drobnomieszczan. Szkoda, że wystawę zakończono wraz z festiwalem.

Po dość pobieżnym, z konieczności, skomentowaniu części imprez, przejdę do, według mnie najważniejszych, spektakli teatralnych. Teatrów było dość dużo — „STU”, „Gong 2”, „8-go Dnia”, „Nawias”, „Gest”, „Pleonazmus”. Najlepszym spektaklem, a zarazem najlepszym finałowym występem, był „Sennik Polski” STU. O spektaklu tym napisano już wiele po Łódzkich Spotkaniach Teatralnych, na których, nie wiadomo dlaczego, nie zajął on pierwszego miejsca. Krzysztof Jasiński, twórca widowiska, skomponował całość korzystając z wielu naszych narodowych tekstów („Kordian”, „Wesele”), a także tekstów poetów współczesnych, młodych (o ile żywiej i bardziej przemawiająco brzmiał ten sam wiersz Barańczaka ze sceny w SN na spektaklu „Sennika” niż w klubie „Poligrafa” na „Jednym Tchem” teatru „8-go Dnia”). Jasiński szarga świętości, drażni, krzyczy prawdę w oczy. Nie ma tam łatwych chwytów „politycznych” „Spadania” (też zresztą znakomitego), mamy do czynienia z tworem klarownym, zrozumiałym. Przede wszystkim zrozumiałym. Belkot, którego nie da się uniknąć przy tak masowej produkcji różnych teatrów, teatrzyków, a w nich różnych spektakli i spektaklików często korzysta z bezkarności, gdyż bywa po prostu nierozpoznawany. A nie zawsze, to co niezrozumiałe musi mieć głęboki podtekst. Zmierzam do Teatru Pana Białoszewskiego krakowskiego „Pleonazmusa”. Oprócz sprawnej zabawy językowej trudno doszukać się tam czegoś głębszego. Drugie widowisko tego teatru (modna dziś kreacja zbiorowa) „Szość samojedna” jest znacznie ciekawsze przez to choćby, że coś sobą wyraża. Dla jednych może być to teatr „polityczny” (choć do dziś nie powiedziano, co

to jest naprawdę „teatr polityczny”) dla innych li tylko fabularna zabawa językowa, ale z sensem, dla jeszcze innych — wytwór chorej fantazji filologa. Można na pewno owe koncepcje traktować jako jeszcze jeden głos dyskusji jaką w naszym studenckim teatrze rozpoczęło „Spadanie”. Tym cenniejszy, że odmienny w formie.

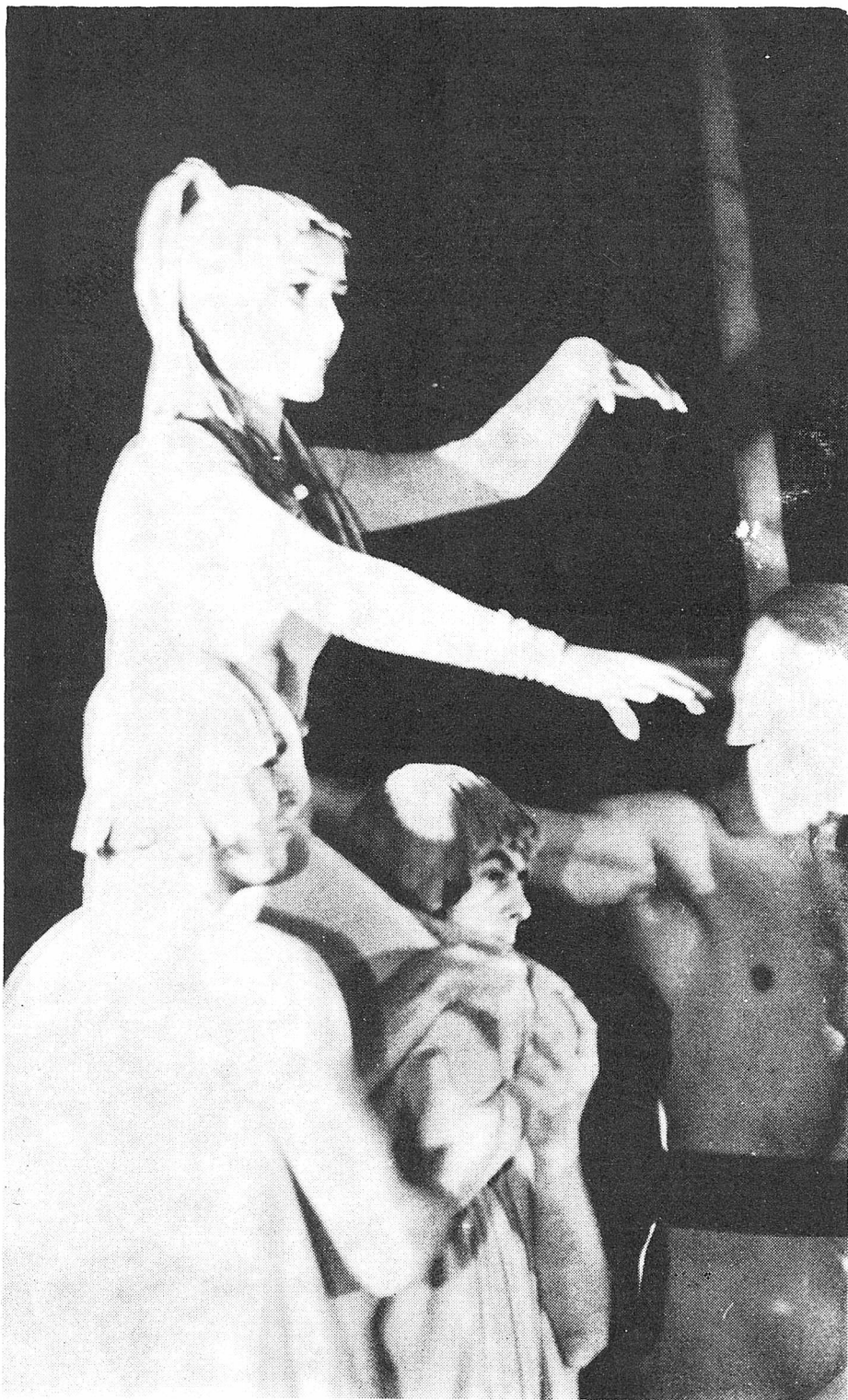
Dzięki tym teatrom, a także dzięki innym, nie dorównującym może poziomem dwu wymienionym, często nawet przeciętnym (na szczęście obecności prawdziwej szmiry teatralnej nie stwierdzono) teatr studencki, choć nie tak widowiskowy, jak wszelkie „masówki”, choć skromny i kameralny stał się zjawiskiem najbardziej znaczącym na festiwalu a może nawet jedynym jasnym punktem finału...).

W tej dość pobieżnej selekcji, ogra-

niczyłem się tylko do opisu niektórych wydarzeń, „kronikarski obowiązek” dziennikarza spełnia do czasu ukazania się mych słów na łamach „Sigmy” już prawie wszystkie pisma studenckie i te „poważne”. Ograniczyłem się tylko do tych, które na ogólnym obrazie festiwalu zaważyły, moim zdaniem, najbardziej. A o niektórych nawet nie warto wspominać... Kurier festiwalowy przygotował w ostatnim numerze sympatyczny dowcip: dwa gotowe podsumowania, napisane jeszcze przed zakończeniem festiwalu, mające ułatwić pracę akredytowanych dziennikarzy. Oczywiście — obydwie diametralnie różne. Pod jednym z nich mogę się z czystym sumieniem podpisać, przycoczę więc go w całości i bez zmian:

„Finał V Festiwalu Kultury Studentów PRL, który odbył się w dniach

Fot. M. Siudym



20.X.—23.X. 72 r. we Wrocławiu nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Bałagan organizacyjny, hołd schematom złożony przez twórców tzw. imprez wiodących, brak wyobraźni wykonawców — świadczą o impasie kultury studenckiej. Impreza mająca w założeniach sumować kilkuletnie dokonania artystyczne — rozłożyła bezradnie ręce.”

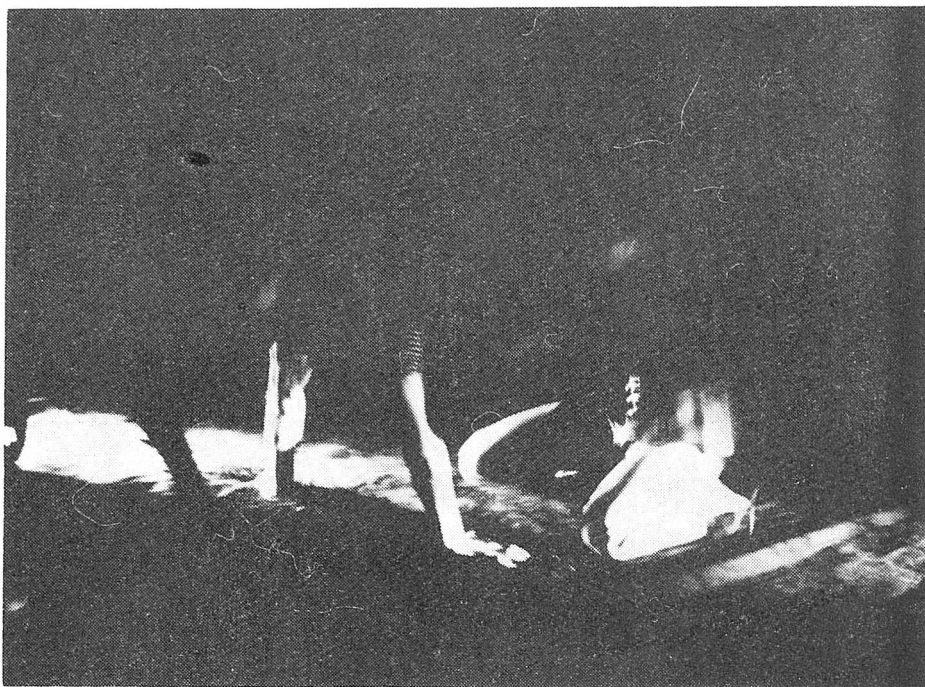
Dlaczego? Cześciowo już to wyjaśniłem, pisząc o organizacji imprez masowych. Do tego należy dodać fakt, o którym też już wspominałem — niepunktualność. Żadna impreza nie zaczęła się o właściwej porze! Szczytem lekceważenia publiczności było opóźnienie koncertu „Komeda Story” o godzinę i 15 minut, bez jakiegokolwiek usprawiedliwienia, czy przeproszenia widzów. Nie lepiej było np. na występie teatru „a”, gdzie już na godzinę przed spektaklem wiadomo było, że nie rozpocznie się na punktualnie.

Inna sprawa — wręcz skandaliczna — nie dostosowano ilości sprzedanych biletów do ilości miejsc na sali. Przykłady — sala WDK podczas występu teatru „a”, Klub Poligrafa — Teatr „8-go dnia”, a już zupełnie nie pomyślano o dużej ilości osób uprawnionych przez BOF do wejścia li tylko z kartą festiwalową. W sumie wprowadziło to dodatkowy bałagan i wiele przykrych sytuacji. Czy można było tego uniknąć? Na pewno tak — jak? to już sprawa działaczy, zwłaszcza, że festiwal organizowali ludzie doświadczeni w przygotowywaniu tego rodzaju imprez). W Kurierze już na początku festiwalu BOF asekuracyjnie przeprosił wszystkich z góry za niedociągnięcia, których, być może, nie da się uniknąć i na tym się skończyło. Zapewne chodziło o niedociągnięcia tego typu, jak nieporozumienie z występem zespołu Politechniki Warszawskiej w Nowej Rudzie, czy

przesiuchanie najlepszych słuchowisk w ASRze, które nie doszło do skutku dzięki bałaganowi w tym ostatnim. Ale skoro błędy (i to widoczne) po-

rządkiem? Gdzie byli gwardziści w niebieskich czapeczkach, gdy jakiś cham bezkarnie zakłócał występ Kofity?

Fot. M. Siudym



pełniane były ciągle, skoro programy ciągle były zmieniane, skoro niektórzy wykonawcy nie raczyli przyjechać, a których brak nie tak przecie nieuświadomiona publiczność (bo uzbrojona w programy) zdążyła zauważyć, należało czasem nieco przeprosić, po prostu pro forma, bo i tak by to już niczego nie naprawiło.

A gwardia porządkowa — co robiła ta gwardia, by zapanować nad po-

Cóż, długo by jeszcze można narzekać na ten finał, który miał być wielkim wydarzeniem dla kultury studenckiej i dla Wrocławia w szczególności, a tymczasem mocno nadszarpnęła opinię naszego miasta znanego dotychczas z dobrej organizacji imprez typu JnO lub MFFTS. Czy uda nam się zrehabilitować w najbliższej przyszłości?

WOJCIECH KOZAK

KURA W OPERZE czyli

W CIENIU V FESTIWALU

Janusz Moszumański

Miał to być festiwal festiwali. Coś co miało zaćmić wszystko to, co środowisko studenckie do tej pory zrobiło. W tym celu postanowiono urzeczywistnić koncepcję imprezy-giganta, w której przez 4 dni przedstawiciele wszystkich środowisk mieli dać ze siebie wszystko to co najlepsze, zaprezentować wobec społeczeństwa swoje wielkie możliwości.

V Festiwal Kultury Studentów Pol-
ski Ludowej we Wrocławiu istotnie należy uznać za przełomowy i niezwykły, a to z kilku powodów. Po pierwsze dowiódł on, że błędna jest koncepcja organizowania imprez-galówek, które nikomu niczego nie dają, a już najmniej zwykłym studentom. Organizacja imprezy masowej o tak szerokim

zasięgu jest przedsięwzięciem poważnym i należy podejść do niego również poważnie. Nie wystarczą tutaj emocje i pozorne zaangażowanie. Mogą one być twórcze i inspiratorskie w momencie opracowywania koncepcji, dalej jednak potrzebna jest solidna praca, bez której nie może być mowy o efektach. Fakt, że przedsięwzięcie o nazwie „V Festiwal Kultury Studentów” nikomu niczego nie dało jest prosty do udowodnienia:

- Wzięły w nim udział zespoły i artyści dawno uznani i cenieni nie tylko w środowisku studenckim, ale także poza nim i nikogo nie trzeba co do tego przekonywać.
- Ilość miejsc na spektaklach i imprezach była ograniczona. Bilety zdobywały te osoby, które z reguły ucze-

stniczą aktywnie w życiu kulturalnym. Nie ma zatem mowy o poszerzeniu kręgu odbiorców studenckiej kultury, co miało być głównym założeniem festiwalu.

- Różnorodność imprez była tak wielka, że nie było mowy o skoncentrowaniu się artystycznym. Tym samym nie było atmosfery sprzyjającej własnym przemysleniom, dyskusjom, itp.
- Szereg imprez pokrywało się w czasie i nie sposób było choćby pobieżnie uczestniczyć w całym festiwalu.
- Próby organizowania tzw. imprez klubowych, które miały być przedłużeniem i kontynuacją tego co się działo podczas spektakli i oficjalnych koncertów, nie mogły być uz-

nane za sukces. W imprezach klubowych uczestniczyli wykonawcy, organizatorzy, obsługa, ale nie ci, którzy mogliby prowadzić autentyczny dialog z twórcami. Brakowało w nich po prostu studentów — widzów spektakli i koncertów.

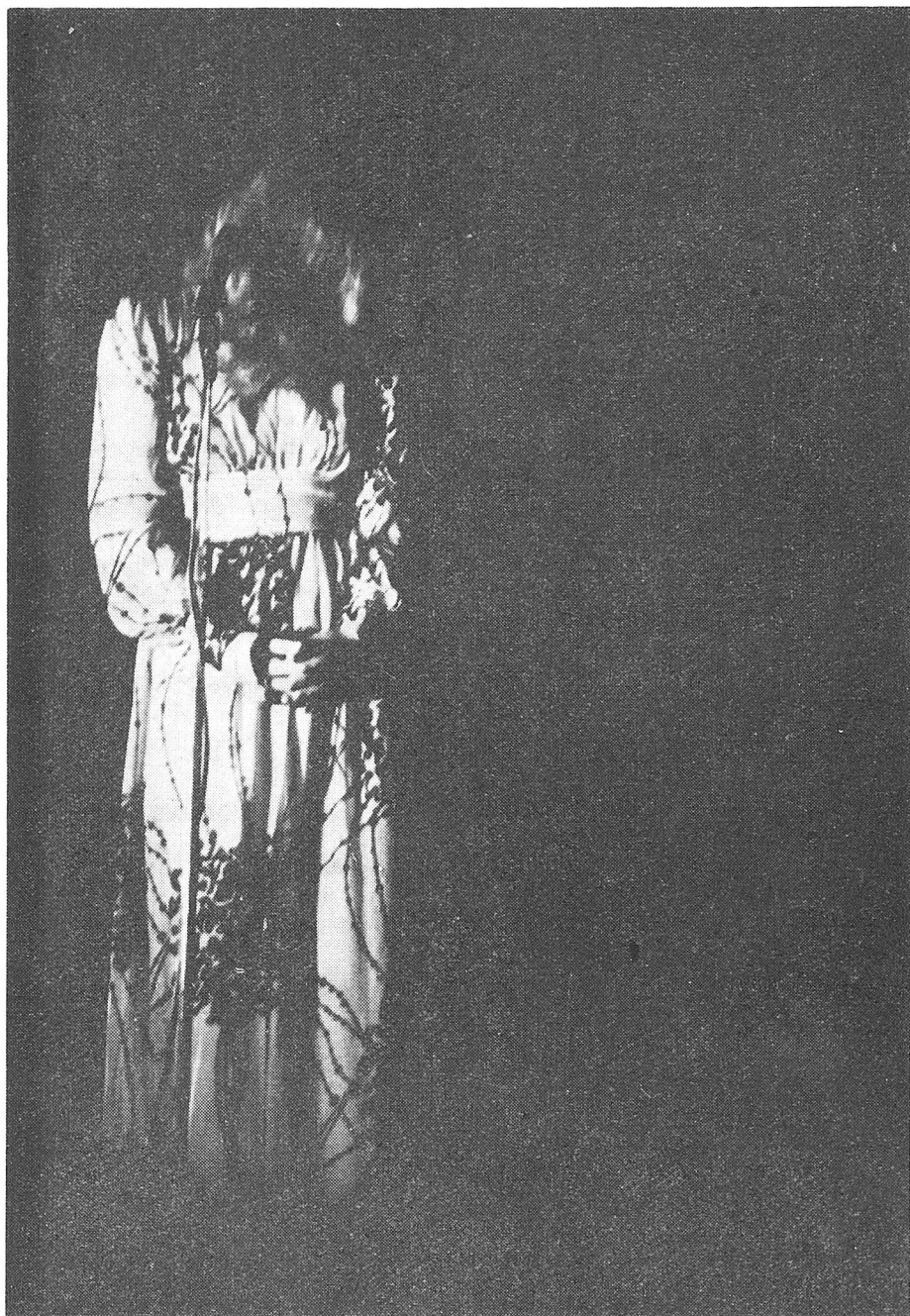
Impreza w takiej formie jest więc gigantycznym jarmarkiem bez jasnej koncepcji programowej. Propaganda festiwalu bardzo wymyślna i kosztowna, uderzała w próżnię. Grupa studencka pozostawał bierna. Bilety kupowano na spektakle, a nie na festiwal. Mówiąc krótko, nie wytworzono atmosfery festiwalowej, tego co jest niezbędne w przypadku tak dużej imprezy. Przyczyn najważniejszych takiego stanu rzeczy należy szukać moim zdaniem w organizacji. W przypadku tak gigantycznej imprezy wszystkie prace czysto techniczne (dekoracje, afisze, transparenty itp.) muszą być wykonane wcześniej. Nie można ich robić tuż przed festiwalem lub jak to miało miejsce we Wrocławiu — w czasie festiwalu. Cała uwaga powinna być wtedy skoncentrowana głównie na zapewnieniu porządku, dyscypliny, sprawności organizacji. Tymczasem jeszcze w przeddzień festiwalu malowano płyty pilśniowe, z których miały być zrobione bloki dekoracyjne. Płyty te położono potem na trawie między domami studenckimi, i ... nikt do końca festiwalu się nimi nie zajął. Przykład karygodnego marnotrawstwa społecznych pieniędzy.

Sprawę organizacji próbowano rozwiązać metodami sieciowymi, opracowując siatkę czynności (PERT). Była ona jednak zrobiona tylko do stopnia kierowniczego i podstawowe zespoły wykonujące zasadnicze prace wymykały się spod kontroli. Metoda powyższa jest dobra wtedy, gdy wszystkie czynności są przemyślane, logiczne, gdy terminy ich wykonania są przestrzegane, gdy ludzie są do końca przekonani, że właśnie tak a nie inaczej należy coś wykonać. Sprawa musi być do końca jasna, nie może być mowy o dyskusji, o spychaniu roboty na kolegę. Organizatorom zabrakło entuzjazmu w momencie, kiedy był on szczególnie potrzebny. Zabrakło więc w poczynaniach organizacyjnych wykończenia, zbyt wiele miejsc było niepewnych i w żadnym wypadku nie wolno było stawiać na optymizm, atmosferę, czy inne sprzyjające okoliczności.

Taki stan organizacyjny spowodował, że na wielu imprezach panował bałagan, wyzwalający u części widzów odruchy agresji a nawet pospolitego chamstwa. Zaczęło się wszystko od piątku, kiedy to z przyczyn wiadomych tylko organizatorom nie odbył się spektakl teatru „STU” z Krakowa. O odwołaniu spektaklu nikogo nie poinformowano wcześniej. W sobotę teatr „a” z Gdańska rozpoczął spektakl z godzinnym opóźnieniem, przy czym zupełnie niezrozumiałe było sprzedanie dwukrotnie większej ilości biletów niż mogła pomieścić sala. Był to typowy przykład „nabijania w butelkę”. Stworzono jednak pewne pozory organizacji i formalnej dyscypliny robiąc potrójne bramki (miejsca gdzie się sprawdza bilety), po to aby przed samym wejściem na salę część publiczności mogła się przekonać, że sala jest już pełna. Zdumiona publika z ważnymi biletami została całkiem zwyczajnie wypchnięta za drzwi, przy czym kierownik sali wyraził pogląd: „U nas to są takie braki kultury, że nie wiem”. Osobny problem stanowili ludzie z obsługi. Była ich tak wielka ilość jak

gdyby odbywał się nie festiwal kultury a olimpiada szachowa. Tworzyli oni tłum trudny do opanowania, zwłaszcza, że na specjalne karnety mogli wchodzić na wszystkie imprezy zajmując miejsca tym wszystkim, którzy kupili sobie bilety. Miejsca przeważnie nie były numerowane, więc gdy wchodziło się na salę najlepsze były zajęte przez ludzi z karnetami o symbolu S (specjalna) i B (biuro). Gwoździem programu wrocławskiego festiwalu był jednak „Non stop show” zorganizowany w Operze. Miał on trwać od 16-tej do 24-tej i każdy kupując bilet sądził naiwnie, że ma prawo do obejrzenia całości. Tymczasem program podzielono na trzy części, sprzedając na każdą osobno bilety. Publiczność zapełniła więc tłumnie Operę, zwłaszcza, że w programie figurowali tej klasy wykonawcy co: Demarczyk, Kofta, Młynarski. Do Opery wpuszczano wszystkich posiadaczy biletów, karnetów (S i B) i innych zaświadczeń. Okazało się, że w Operze jest przynajmniej o połowę za dużo publiczności. Sędziwy gmach poddano największej chyba próbie obciążenia, która udowodniła, że Opera we Wro-

clawiu długo jeszcze postoi. Okazało się dalej, że nie wystąpi Pani Demarczyk, natomiast Panowie Kofta i Młynarski wystąpią tylko w części drugiej o czym nikt nie wiedział wcześniej. W pierwszej części próbowano więc zmontować jakiś program, który niestety nie przypadł publiczności do gustu, z góry nastawionej na Demarczyk, Koftę czy też Młynarskiego. Program rozpoczął się monologiem konferansjera na tematy muzyczne: „W związku z rokiem moniuszkowskim przepraszamy za 30 minutowe opóźnienie”. Potem były filmy Disneya i pierwszy gwóźdź programu czyli rzut kurą w widownię. Oto krótki opis wypadków: zza kurtyny wychodzi facet i rzuca żywą kurą, która ląduje miętko w 3-cim rzędzie. Po pewnym czasie wychodzi 4-ch facetów w marynarkach ze Studium Wojskowego i w hełmach ze straży pożarnej. Panowie ci z okrzykiem kura, kura, odszukują biedaczkę i zaczynają rzucać nią jak piłką. Ponieważ część publiczności zaczyna wyrażać niezadowolenie więc przestają i odchodzą z kurą. Podobno miał to być happening, tylko że autorom niestety za-



brakło konceptu. (Tego typu zabawy mogą się udać w kameralnym gronie a nie z tysięczną widownią. Założeniem happeningu jest to, że wszyscy powinni się bawić. Co było by możliwe, gdyby w widownię rzucono np. tysiąc kur).

Na uwagę zasługują również inne wydarzenia. Na wrocławskim festiwalu po raz pierwszy zastosowano metodę wypędzania wykonawców, co niestety, nie świadczy dobrze o pewnej, na szczęście nielicznej, grupie pseudo studentów. W pierwszej części „Non stop show” postanowiono wygnąć jazzmanów. Sympatyczni ci ludzie grali błędnie i gdy tylko zrobili przerwę na zapowiedź nowego utworu z sali padły głosy „dosyć tego, idźcie już stąd, itp.”. Zdziwieni panowie pozbiali więc instrumenty i wyszli. W drugiej części „Non stop show” próbowano potraktować w ten sposób Pana Koftę. Kilku tępych i bezszelnych widzów zaczęło obrażać tego świetnego wykonawcę monologami typu: „zdejmuj spodnie stary, przedstaw się, itp.”. Przez 30 minut nikt z organizatorów ani publiczności nie potrafił wygzekwować właściwego zachowania od kilku nieodpowiedzialnych jęłopów, którzy spokojnie kompromitowali środowisko studenckie. Próba wypędzenia Pana Kofty nie powiodła się. Powiodła się natomiast próba wypędzenia zespołu „Nirwana”. Zastosowano metodę identyczną jak w części pierwszej „Non stop show” (wynoście się, starczy już tego). Wy-

konawcy tym razem wyszli i nawet nie podziękowali za miłe przyjęcie. Tylko czy zechcą jeszcze kiedyś wystąpić na „festiwalu kultury”?

Wszystkie te próby rzucają światło na dosyć istotny problem. Ciągłe za mało jest w działalności uczelni i organizacji studenckich elementów wychowawczych skierowanych na indywidualnego studenta, czy grupę studencką. Braki z tego wynikające dają o sobie znać właśnie w takich sytuacjach, gdzie nawet w obliczu niedociągnięć organizacyjnych i rozczarowań nie wolno zachowywać się w sposób, nie dający się niczym wytłumaczyć. Wypada się zastanowić czy środowisko studenckie ma i może robić wielkie imprezy przetwarzające możliwości organizacyjne. Czy w miejsce tych reklamówek nie lepiej skierować środki i działanie na studenta i grupę studencką. By teatry studenckie innych środowisk można było oglądać nie tylko z okazji festiwalu, by imprezy klubowe były czymś zwyczajnym a nie niezwykłym.

Festiwal nie spełnił więc podstawowego założenia. Nie rozpełtał fermentu twórczego. Dla większości uczestników pozostanie niesmak organizacyjny i rozczarowanie, że nie wszystko wyszło tak jak powinno.

Na zakończenie należy podkreślić ten aspekt, którego nie są w stanie prześlonić żadne braki organizacyjne. Jest nim głęboka alegoria naszej rzeczywistości, której wyrazem był każdy wy-

stęp teatralny, każdy tekst kabaretowy. Spektakle prowokowały do dyskusji, zastanowienia się, do próby znalezienia siebie. Dla wielu był to prawdziwy wstrząs moralny. Przecież w wielu wypadkach tylko od nas i od naszej uczciwości i pracy zależy to, czy będziemy iść szybciej czy wolniej, czy nasze życie uczynimy lepszym. Każdy mógł sobie w oparciu o spektakl stworzyć swoją własną teorię tego, co twórcy chcieli wyrazić. Istnieje w środowisku studenckim autentyczne zapotrzebowanie na teatr, kabaret, a także dobry chór czy zespół folklorystyczny. Zapotrzebowanie to musi być zaspokajane jeśli chcemy mówić o nowoczesnym, wszechstronnym wychowaniu. Dlatego celem każdego przedsięwzięcia musi być wyraźny zamysł wychowawczy, tak by każdy i w każdym działaniu mógł konfrontować swoje poglądy, ponosić coraz większą odpowiedzialność indywidualną za siebie oraz za kolektyw, w którym się znajduje.

Tylko taka koncepcja wychowawcza jest gwarancją budowy nowego, lepszego społeczeństwa, w którym nie będzie miejsca dla tępych kibiców, dla tych, którzy ciągle deklarują dobre chęci a nie rzeczywistą pracę. Będzie natomiast miejsce dla tych, którzy chcą iść szybciej i lepiej, którzy chcą znać całość a nie tylko cytaty. Każdy się zgodzi, że jest to jedyna dla nas droga.

JANUSZ MOSZUMAŃSKI

NASI NAJLEPSI

Pasją Janusza Biernata jest matematyka, interesuje się teorią gier, marzy o skonstruowaniu maszyny, która modelowałaby człowieka i w zależności od potrzeb zmieniała swoją strukturę, uwielbia góry, jest laureatem „Srebrnej Sowy” w konkursie „Disce Puer” (jeszcze za czasów szkolnych), a w młodości marzył (i to całkiem poważnie) o zostaniu sprawozdawcą sportowym.

To oczywiście nie wszystko. Bo mimo licznych zainteresowań znalazł czas na to by osiągnąć średnią 4,5 (bagatela) z dotychczasowego przebiegu studiów i... jest stypendystą naukowym Instytutu Cybernetyki Technicznej. Przez kilka lat pracował też w Komisji Zagranicznej RU ZSP.

ZAWSZE

na

pos
te
run
ku

Nie potrafi pracować, jeżeli nie spoci się przy robocie” — tak o panu BRONISŁAWIE HAJDAMOWICZU powiedział jego szef. Opinię tę potwierdzić by mogli wszyscy, którzy zetknęli się z Nim, albo z sekcją z Działu Administracyjno-Gospodarczego Politechniki, którą prowadzi już od trzech lat.

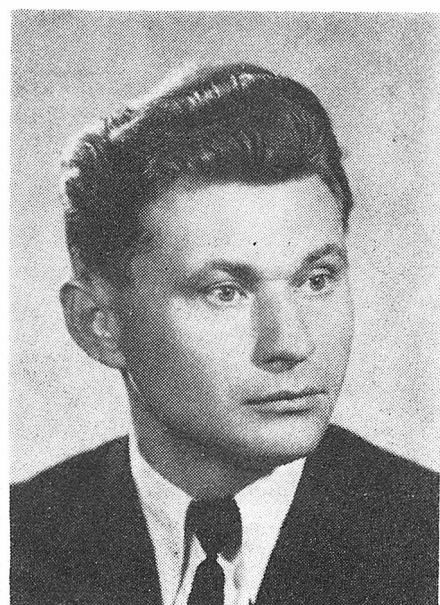
Czy to przeprowadzka, czy konieczność dokonania drobnych napraw, przeprowadzenie porządków, czy nawet „odwodnienie” jakiegoś zalanego pomieszczenia, w którym ktoś nieuważny zapomniął zakręcić kran, zawsze do pana Hajdamowicza płyną prośby o pomoc — politechniczne S.O.S.

Bywa, że w razie nagłej awarii musi pracować w niedzielę i święta, bez względu na porę dnia i roku — zawsze na posterunku. To chyba jakiś nawyk, niezwykle głęboko tkwiące poczucie obowiązku, które kazalo mu jeszcze jako 16-to letniemu chłopcu za-

ciągnąć się do Armii i zdobywać wraz z nią Berlin. Dopiero parę tygodni temu został odznaczony medalem — „Za Udział w Walkach o Berlin”. Dopiero teraz... i aż dziwne wydaje się, że przez tak długi czas nie został dostrzeżony ten Siedemnastoletni Zwycięzca.

Kiedy parę dni temu zwróciliśmy się do pana Hajdamowicza z prośbą o wywiad, mieliśmy nie lada kłopot... nie nie dało się z Niego wydobyć. Kto wie, może to skromność jest powodem, że nie zawsze Go dostrzegają. Zresztą i tak najwięcej może o Nim powiedzieć Jego własna praca. Sekcja, którą prowadzi jest ogromnie operatywna, znakomicie zgrana. Dużo czasu poświęca działalności społecznej. W miejscu zamieszkania jest dowódcą Terenowego Oddziału Samoobrony. W Politechnice inicjuje wciąż nowe prace społeczne.

(—)





Dnia 27.X.1972 r. w DKF Politechnika odbyło się, w ramach obchodzonych Dni NRD, spotkanie z filmowcami NRD-owskimi. Obecni na nim byli m.in. reżyser Horst Seeman, twórca wyświetlanego po spotkaniu filmu „Dojrzała wiśnia” i pani Trandl Kulikowski, odtwórczyni jednej z głównych kobiecych ról w powyższym filmie.

Na spotkaniu poinformowano o sytuacji w kinematografii NRD oraz o planach współpracy z polskim filmem.

Spotkanie to było pierwszą konfrontacją DKF Politechnika z filmowcami zagranicznymi i upłynęło w bardzo miłej atmosferze.

W dniach 23—28 października czynna była w Gmachu Głównym Politechniki wystawa książek i czasopism francuskich. Cenne pozycje ilustrujące najnowsze osiągnięcia nauki i techniki cieszyły się dużym powodzeniem wśród zwiedzających.



Warto przy okazji nadmienić, że w Politechnice była już zorganizowana swojego czasu wystawa technicznej książki angielskiej. Czekamy na następne!

NOWO WYBRANI

I SEKRETARZE OOP INSTYTUTÓW

1. dr inż. arch. Grudziński Andrzej I-1
2. mgr inż. Kujawiński Kazimierz I-2
3. dr inż. Rutkowski Alojzy I-3
4. dr inż. Młochowski Jacek I-4
5. dr inż. Palewski Tomasz I-5
6. dr inż. Pawełka Ryszard I-6
7. dr inż. Luczyński Adolf I-7
8. dr inż. Masny Jan I-8
9. dr inż. Malcher Józef I-9
10. dr inż. Czubaszek Jan I-10
11. inż. Waniewski Józef I-11
12. dr inż. Kawala Zdzisław I-13
13. dr inż. Zieliński Stefan I-14
14. mgr inż. Rubaniuk Andrzej I-15
15. dr inż. Kollek Waław I-16
16. mgr Korczowski Henryk I-18
17. doc. dr Zuchowski Ryszard I-19
18. mgr inż. Guzowski Jerzy I-20
19. dr inż. Hiler Grzegorz I-21
20. dr Gęsiarz Stanisław I-22
21. mgr inż. Krajewski Zbigniew I-23
22. mgr inż. Ilezyszyn Józef I-24
23. doc. dr Moraw Michał I-25
24. dr inż. Zieliński Stefan I-26
25. dr inż. Dul Marian I-27
26. doc. dr Piątkowski Antoni I-28
27. dr inż. Zieliński Piotr I-29
28. Kabat Kazimierz Administracja
29. mgr Frankiewicz Tadeusz St. J. Obcych
30. mgr Kucharski Lesław Studium WF
31. ppłk Skarbowski Jan St. Wojskowe
32. inż. Holubicki Leszek Z-d Stud. Projekt.
33. mgr Sztukowski Czesław Bibliot. Gł.
34. mgr inż. Krasieński Wiesław ZAN



OGŁOSZENIE

Doktoranta, który pożyczył odemnie rok temu, na jeden dzień książkę J. G. Kemmeny'ego pt. „Nauka w oczach filozofa”, proszę uprzejmie o jej zwrot do pokoju nr 149.

prof. dr W. Kasprzak

ZMS:

Podczas inauguracji roku akademickiego, która odbyła się w Teatrze Współczesnym wręczono odznaczenia organizacyjnym im. J. Krasieńskiego zasłużonym działaczom ZMS. Brązową odznakę im. J. Krasieńskiego otrzymali: Zofia Kowalska — studentka V roku Wydziału Informatyki i Zarządzania, kierownik Wydziału Informacji ZU ZMS.

Jerzy Giergiel — v-ce przewodniczący ZU ZMS.



27.X.72 r. o godz. 18.00 odbyło się spotkanie z filmowcami z NRD. Na zakończenie spotkania wyświetlono film pt. „Dojrzała wiśnia”.



Dla uczczenia 50 rocznicy Rewolucji Październikowej w Politechnice Wrocławskiej obchodzone są dni ZSRR organizowane wspólnie przez ZMS i ZSP. Celem imprez jest zainteresowanie środowiska sprawami ZSRR, zapoznanie z jego kulturą oraz ożywienie kontaktów młodzieży obu krajów.



Dnia 11.XI. o godz. 10.00 odbyło się Plenum poświęcone sprawom zatrudnienia. Na Plenum zaproszeni zostali absolwenci Politechniki Wrocławskiej zatrudnieni w przemyśle w różnych rejonach kraju.

ZSP:

W listopadzie na niemal wszystkich wydziałach odbyły się tradycyjne „bale otryśsinowe”. Jak co roku były one doskonałą zabawą nie tylko dla bea-



W pierwszej połowie listopada w większości instytutów odbyły się narady posesyjne zorganizowane wspólnie przez RI ZSP i ZI ZMS.



BFiT ALMATUR proponuje następujące wycieczki sylwestrowe dla studentów:

Węgry — Budapeszt; 29.12.72—3.01.73.
ZSRR — Moskwa—Leningrad; 30.12.72—6.01.73

ZSRR — Kijów—Tbilisi—Erewań;
26.12.72—7.01.73

CSRS — Karlowe Vary—Prawa; 29.12.72—5.01.73



RU ZSP Akademii Rolniczej we Wrocławiu ogłasza Ogólnopolski Konkurs Fotograficzny pt: „Polska wieś, polskie rolnictwo”.

Termin nadsyłania prac do 1.12.72—15.03.73. Bliższych informacji udziela KPiI RU ZSP.



STUDENCKIE KOŁO NAUK POLITYCZNYCH

W listopadzie 1972 r. odbyło się walne zebranie Studenckiego Koła Nauk Politycznych Politechniki Wrocławskiej. Powstało ono przed dwoma laty z inicjatywy Instytutu Nauk Społecznych, Rady Uczelnianej ZSP i Zarządu Uczelnianego ZMS.

Głównym celem Koła jest stworzenie forum dla pogłębionej, naukowej analizy zagadnień politycznych. Słowo „politycznych” ma tutaj znaczenie bardzo szerokie. Dotychczasowa działalność obejmowała różne dziedziny życia społecznego, ze szczególnym uwzględnieniem aspektów politycznych, ekonomicznych, socjologicznych i społecznych. Pomimo stosunkowo krótkiej działalności, Koło ma już pewne osiągnięcia. Najważniejsze, to dwa wyróżnienia indywidualne na Międzynarodowej Sesji Naukowej na temat „Rewolucja naukowo-techniczna” (Warszawa, maj 1972) oraz III nagroda za referat naukowy na Ogólnopolską Sesję Kół Naukowych we Wrocławiu na temat „Polacy na szlakach przemian świata”.

Podstawową formą pracy Koła są zebrania naukowe mające charakter dyskusji. Ambicją Koła jest doprowadzenie do takiego stanu merytorycznego i organizacyjnego, który by umożliwiał działalność naukową (uczestnictwo w tematach badawczych Instytutu Nauk Społecznych, przygotowywanie publikacji w ramach Zeszytów Naukowych Instytutu).

W obecnej kadencji, która obejmować będzie rok akademicki 1972/73 realizowany będzie cykl tematyczny „Polska 2000”. Zamierza się opublikować wnioski z tej dyskusji w Zeszytach Naukowych Instytutu Nauk Społecznych, jako głos studentów w sprawach ważnych przecież dla nas wszystkich.

Jest tylko jeden problem. Krąg uczestników Koła (ok. 10 osób) nie pozwala na pełną realizację całego programu. Nowy Zarząd Koła postawił sobie jako naczelną zadanie działanie w kierunku zwiększenia liczebności Koła. Ma to być zatem rodzaj „wszechnicy humanistycznej”, gdzie istnieją możliwości pogłębionej analizy społecznych mechanizmów. Jest to sprawa bardzo istotna jeśli się zważy, że sfera działalności inżyniera coraz bardziej się rozszerza, że w swojej pracy podejmuje on bardzo często decyzje polityczne, wymagające nie tylko fachowej wiedzy inżynierskiej ale także szerokiej wiedzy ogólnej.

Studenckie Koło Nauk Politycznych stwarza wszystkim takie możliwości, jest Kołem ogólnouczelnianym działającym przy Instytucie Nauk Społecznych w ramach SNS. Wszelkie informacje o pracy Koła można otrzymać w Instytucie Nauk Społecznych i Radzie Uczelnianej ZSP.

J.M.



SENAT OBRADOWAŁ NAD...

Na kolejnym posiedzeniu Senatu poddane zostały dyskusji następujące problemy:

— przebieg rekrutacji na I rok studiów 1972/73;

— letnia akcja praktyk robotniczych studentów Politechniki Wrocławskiej w 1972 r.;

— system prognozowania dla ustalenia programów rozwoju Szkoły oraz

— działalność kolegium redakcyjnego „SIGMY” i ocena ostatniego rocznika magazynu.



— Poza danymi statystycznymi, które każdego roku się zmieniają — nowością w porównaniu do lat ubiegłych w zakresie rekrutacji była realizacja zarządzenia MNSZWit, upoważniającego szkoły średnie do kierowania na

studia bez egzaminu wstępnego najlepszego absolwenta. W Politechnice Wrocławskiej w wyniku tego zarządzenia studiuja obecnie 134 osoby.

— Z materiałów Uczelnianej Komisji do spraw Praktyk Robotniczych wynika, że tegoroczna akcja praktyk przebiegała na ogół prawidłowo a ogólna średnia zarobków studentów wynosiła 1300,— zł. Rozpiętość pomiędzy najwyższymi i najniższymi płacami o-

kazała się zaskakująco duża. 600,— 3600,— zł.

— Obszernego wprowadzenia do dyskusji nad materiałami dotyczącymi systemu prognozowania doknał prorektor, prof. dr habil. Wacław Kasprzak.

— Z przyjemnością informujemy, że Senat wysoko ocenił pracę kolegium i wydawnictwo ostatniego rocznika uczelnianego pisma „SIGMA”.

m.



Henryk Jagodziński

Przebłyski



Czasami czynimy tak, jakbyśmy chcieli podciąć nogi naszym fotelom.



Szukajmy miejsc na szeroko i wysoko postawione stopy.



Komputerom dobrze — mogą wiedzieć wszystko, do czego zostały zaprogramowane.



Pijący przesadzają przynajmniej w 45 procentach.



Moda angielska jest bardzo powściągliwa: bluzeczka nie zakrywa piersi, spódniczka nie zakrywa ud, a reszty nie ma.



Ludzie wolni są braćmi. A szybcy?...



I wśród wypadków wodogłowia są różne stopnie stężenia.

Gdzie idea interesem, tam geszeft na-
bożństwem.



Nic jest niczym nawet w najbardziej
eksponowanych miejscach.



Puknij się w głowę, ale na wszelki
wypadek lepiej w cudzą.



Być sobą i ani razu się nie zająknąć!



... A jednak dwa razy dwa równa się
cztery. I to jest cała prawda...



Los nie szczędzi nam wzlotów, byśmy
poznali słodycz upadków.



Rusten Kutuj

DOBRY LUDZIE WIOSNĄ

Pomarszczona, zgarbiona jakby w stałym przysiadzie z trudem do-
wlokła się do sanatorium. Tuż
przed wejściem rzuciła swoje
rzeczy na śnieg i zaczęła podska-
kiwać jak mała dziewczynka. Dmucha-
ła w dłonie i skakała. Tak potwornie
przemarzła, że sama myśl o cieple mi-
gotła w niej jak zbawienny płomyk.
Ale zimno nie ustępowało, pomimo że
jeszcze bardziej się zmęczyła, przytu-
pując omdlałymi nogami. Wtem pies
wyskoczył z bramy z gorącą, rozwartą
mordą. Krzyknęła i usiadła na zaspie,
ale psisko było dobre, syte, wyraźnie
zgrzane i bez przyczyny wesołe. Po-

obwachiwało leżące na śniegu rzeczy
i poleciało dalej obszczekiwać cudze
ślady.

Z pobliskiej przybudówki wybiegł
chłopak, również czymś podniecony, w
starej czapce, w płaszczu przewiązanym
rzemieniem. Widocznie łapał psa, bo ca-
ły był zgrzany i czerwony.

— Chłopcze, hej chłopcze, gdzie tu
jest kancelaria? — zapytała z żarliwo-
cią w głosie. Ale tamten nie odpowie-
dział nic, jak gdyby to nie do niego się
odnosiło, z zadowoleniem zaczął ubijać
walonkami śnieg, przyglądając się jej
jak pociesznej patniczce. Potem nagle
objął ją i krzyknął coś wesoło i pies-
-

czotliwie. Nie przestraszyła się, ale w
pamięci błysnął dawny obraz zmarle-
go synka Wasyłka z ciepłą główką.
Błysnął i zaraz zgasł, rozgrzało ją to
dziwne zachowanie chłopca i poczęsto-
wała go piernikiem z torebki, zrozu-
miałwszy, że chłopiec jest niespełna ro-
zumu. Cała jego twarz pojaśniała,
krzyknął coś do niej i poleciał w ślad
za biegnącym psem.

Strząsnęła z siebie śnieg, podniosła
swe rzeczy i weszła w bramę. Tu wszy-
stko było inne. Czyste, wymiecione
ścieżki posypane piaskiem, różne napi-
sy: „Stołówka”, „Klub” oraz pomnik
wśród zasp, martwy i obcy zimowemu

Krajobrazowi. Z tyłu przechadzali się kuracjusze z powagą. Nie palili. Kiedy się zbliżyli, stanęła na boku, jednak wstydziła zapytać się o biuro, chwyciła tylko przelotnie spojrzenia mijających ją twarzy, czekając, że ktoś przemówi, zainteresuje się nią, ale ludzie mieli swoje myśli, futrzane kołnierze i byli obcy dla niej, skośnookiej i płochej...

Wokół było tak słonecznie w oślepiającym blasku śniegu, tak błogo, że łyzy ciekły ze szczęścia, a w piersi coś jakby topniało w czystym podziwku. Marzec rozkoszował się światłem jak biała kotka na zasłanej pościeli. Z brzoź osypywał się śnieżek lekuński, puszysty, strącany przez sikorki. Hen pod brzezina przeleciał koń z saniami, cały w kłębach pary, podzwaniając kopytami.

Zapomniała dlaczego zboczyła ze ścieżki, rozejrzała się na wszystkie strony, gdzie kładły się błękitne cienie, weszła pod rozłożysty świerk, pod którym panował fiołkowy zmierzch niczym gęstniejący dym i zupełnie się uspokoiła, jak gdyby w życiu nigdy nie widziała czegoś piękniejszego, chociaż połowę swego życia spędziła w leśnej osadzie.

Być może że dawniej tak bywało, być może nie dostrzegała tego wśród trudów życia, ale teraz wyraźnie odczuwała, że takiej jasnej wiosny jeszcze nie było.

I nagle zagrzała ją nowa świadomość — ze stacji szła ciagle w górę, zmęczyła się nagle strumizną wznieślenia — czyli że jest teraz wysoko, bliżej nieba, to i dlatego śnieg tu pewniejszy i ślad narciański lśni jak szkło. Wtem po prawej stronie zobaczyła dziewczynę w płaszczu lekarskim, która wybiegła na ganek i zawołała do niej:

— Tędy, tędy, babciu! Po ścieżce.

„No i doczekałam się, chwala bogu, nikogo nie muszę już o nic pytać. Jednakże — babciu! Szanuje...” — pomyślała z ulgą. Dziewczyna okazała się współczującą, w okularach i z pierścieniem na palcu. Napisała o niej do grubej księgi: Elizaweta Tichonowa, do jarka z kołchozu „Promień”, przybyła do sanatorium leczyć serce. Po raz pierwszy? Naturalnie. Nie mogę się skarżyć na swój los. Jak to się stało? Zwykle przypadek: poszła krowę wydoić, oczy miała w porządku, słońce grało w plecy, skopek postawiła, wyciągnęła ręce do wymienia, kiedy nagle wszystko się rozplęnęło jak w fałdach i przewróciła się na siano, dobrze że nie pod krowę, a później sąsiadka zobaczyła ją przez uchylone drzwi i przenieśli ją do pookju. Czy bolało. Raczej nie, tylko kiedy się ocknęła, to coś ją dusiło, gniotło jak ciasto w dłoni. O krowy mocno się niepokoi, a bo to bez niej dogladną?...

Dziewczyna słuchała uważnie i wychytując niewypowiedziany podtekst, kręcąc pierścieniem na palcu, wcale nie przerywała zapалу Elizawety Tichonowej z twarzą jakby ukrywającą usmiech. Była to twarz postarzała przez smutek, chociaż oczy patrzyły jasno, zaś bezrzesne powieki poruszały się jak u ptaka, a brwi wyrastały ruchliwymi i siwymi klaczkami.

Elizaweta Tichonowa bez skrępowania opowiedziała młodej dziewczynie w prostych słowach historię ze swym sercem, ponieważ przepuszczała, że tak będzie lepiej dla przebiegu leczenia.

— Skoro już legła, to i lekarz przyjechał. Pokręcił głową. Mnie śmiech bierze. Młodziutki był taki, nawet bał się dotknąć mej piersi. Dali mi więc skierowanie do sanatorium, jedź, mó-

wią. A ja się uparłam, bo krowy podychają... W mieście tylko dwa razy była, a w sąsiedniej wsi pięć dni. Poza tym nigdzie. Wsiowa jestem. Umrzesz, powiadają, jeśli nie pojedziesz. A ja lubię żyć, pierogi piec lub ogórki sadzić. Kocham ziemię. Dla mnie życie jest najważniejsze. Tam, w niebie, ciemno, tu na świecie lepiej. Ot i jestem — roześmiała się przepuszczając przez zęby powietrze. — Serduszek moje jakby wodę pilo. Posiorbie, posiorbie i zatrzyma się.

— My tu dobrze leczymy — powiedziała dziewczyna. — Przepiszemy pani kąpiel i witaminy — czuła wyraźną sympatię do młodej staruszki. — Jeszcze pani pohula. Wiosną wszystko lepsze. Dziś, kiedy przebiegałam przez rzeczkę, słyszałam, jak tam woda w dole przepływa. „Dzzzy” — dźwięk taki cichy jak sprężyna w zanadru. To woda kry przetacza.

— Tak, tak. A mnie pies tu przestraszył.

— Gdzie?

— Przed bramą.

— Szarik? On nie jest zły, szczeka tylko.

— Przejrzałam go, dobry, pies. Piernika z przestrachu zapomniałam mu dać. E tam, drugi raz dam, na pewno się ucieszy. A ciebie jak zwą?

— Lidia — odpowiedziała dziewczyna.

— A mnie Elizaweta Tichonowa, do jarka jestem.

— Już zapisałam. W takim razie — dziewczyna podniosła się, klasnęła w dlonie — odrowadzę panią na miejsce, żeby pani nie błądziła. Elizaweta Tichonowa przyzwyczaiła się do tej rozmowy i nie była skora do wstawania. Tymczasem dziewczyna wdziewała cienki paltocik.

— Przecież zmarzniesz.

— Skądże, teraz? Przecież mrozy już się skończyły.

— A ja, strach pomyśleć, jak przemarzłam.

Wstała.

Wyszły na ganek i zmrużyły oczy — powietrze znad chłodnego i nietkniętego śniegu lekką falą uderzyło w pierś, a Elizaweta Tichonowa odniosła wrażenie, że ziemia ruszyła niczym olbrzymia tratwa.

— Nie mam pojęcia jak te krowy beze mnie... Milutka, ta przyzwyczai się do każdego, ale Żenka się rozhuła, może człowieka skaleczyć.

Doszły do wysokiego budynku, ciężkie drzwi lekko się rozwarły. Od progu biegł płocienny chodnik i Elizaweta Tichonowa długo czyściła walonki, a nawet miała zamiar zawrócić. To przecież zorganizowane życie było dla niej czymś nowym, przeleciała się go, brak doświadczenia, obcy kazał jej przesunąć się pod ścianę, ponieważ spoglądała na siebie wzrokiem obcego człowieka i zobaczyła nagle swą idyotyczną walizkę i odzienie niezbyt modne, tam na wsi jakoś by uszło i nie raziło tak, ale tu Elizaweta Tichonowa poczuła się opuszczona jak sierota, tym bardziej, że dziewczyna pożegnała się z nią, wskazując na lekko uchylone drzwi.

Z wolna wśliznęła się do środka. Na łóżku w jaskrawym szlafroku siedziała kędzierzawa kobieta i lakierowała sobie paznokcie.

— No i doczekałam się nareszcie towarzyszeki — powiedziała i wstała na przywitanie.

— Jaka tam towarzyszka — zdziwiła się Elizaweta Tichonowa.

— Do kart. W durnia będziemy grały, bo inaczej z nudy umrzemy.

— A w durnia można — zgodziła się

młoda staruszka i zaczęła się rozbierać. Dwie chustki zdjęła z głowy i kaptanik. — Gorąco — stwierdziła.

— Na imię mam Róża — odezwała się kobieta.

— Lubię śpiewać piosenki tatarskie, nie będziesz się gniewać, prawda?

— Ja nazywam się Elizaweta Tichonowa. Liza.

— Och, jaka ty jesteś chuda i garbata — powiedziała Róża.

— Ciężko z tym, co?

— Przyzwyczaiłam się.

— Upadłaś czy co?

— Worki podczas wojny dźwigałam, to i wyrósł. I stwardniał.

— Napijemy się herbaty z miodem. Mam miód — powiedziała Róża.

— Muszę się o Ciebie zatroszczyć. U nas w Baszkirii jest bardzo dużo miodu, wiadrami go nosimy. Siadaj, ja się zajmę wrznięciem. Długo musiałaś iść, przemarzłaś.

W niedługim czasie już były zaprzyjaźnione, śmiały się z różnych głupstw, były zadowolone. Potem udały się na przechadzkę, trzymając się pod rękę. Szły dłuższą trasą, tylko od czasu do czasu rzucając uwagi. Śnieg polatywał, a tuż nad lasem wisiał błękitny opar, niebo rozpościerało się w górę bez żadnej chmurki, bez powiewu, a wszystko otaczająca biel z błękitem nie męczyła oczu, tylko kładła się na duszy orzeźwiającym spokojem.

— Jeżdżisz na nartach — zapytała nagle Róża.

— Coś ty, coś ty — przestraszyła się Elizaweta Tichonowa.

— Bezpłatnie wypożyczają. Ale skoro ty nie idziesz, to i ja wypocznę. Przecież jesteśmy przyjaciółkami.

— Przyjaciółkami?

— A jakże inaczej, koniecznie tak.

— Nigdy dotychczas nie miałam przyjaciółki.

Tylko sąsiadki. Mąż był samotnikiem, gospodarstwo też na odludziu, a jak przyszła wojna, to wszystko poszło w rozsypek. Padł. To znaczy mąż. Pod sam koniec wojny. Napisali mi o nim. Z okna w niego strzelano, kiedy na ganku owijał nogi onucami. Do domu się wybierał. Nie wrócił. I chłopak zmarł. Wasylek. W oczach niknął, głód był, zęby na makuchach zdarliśmy. Pogrzebałam. Mamy tam ładny cmentarz, spokojny. Już nawet dla siebie wyznaczyłam miejsce, razem z Wasylkiem, pod brzozą... Ale przyjaciółki nie, przyjaciółki nie miałam. Babą Garbuską jestem. Dlatego, że wszyscy tylko Garbuska, Garbuska — wypowiedziawszy to słowo lekko się przygarbiła. — A ludzie dobrzy wszędzie, sąsiedzi. Ale przyjaciółki nie miałam. Tak było...

— No to teraz dopiero będę twoją przyjaciółką — rzuciła szybko Róża — potrzebna ci.

W małym pokoiku wysłanym wielkim dywanem Elizaweta Tichonowa zdjęła buty, a Róża usiadła na krześle i śledziła od drzwi swą przyjaciółkę. Było tam jeszcze dwoje mężczyzn, głośno oddychających. Przepuścili przed siebie młodą staruszkę i wskazali jej, gdzie należy stanąć do wżenia. Elizaweta Tichonowa trzymała rękę na ustach, bała się, żeby nie wybuchnęła śmiechem.

— To na pewno waga musza — powiedział mężczyzna w krawacie.

Siostra włożyła jej w dłoń błyszczący przedmiot i kazała ścisnąć z całej siły. Elizaweta Tichonowa spełniła jej prośbę, rumieniąc się cała z wysiłku. Zaskoczenie było ogólne, nikt nie chciał

wierzyć, kiedy siostra stwierdziła: — Pięćdziesiąt. Drugim razem to samo.

— No i masz muchę — rzuciła Róża od drzwi, broniąc swej przyjaciółki.

— Wy nawet trzydzieści nie będziecie mieli.

Jak ona to odgadła, Róża, czyżby była Cyganką? Mężczyźni odeszli ze wstydem.

I znowu przechadzały się, oddychając świeżym powietrzem i rozpatrując całe zdarzenie.

— Ale żeśmy im dały — powiedziała Róża. — Ich oczy, gdybyś widziała te oczy!...

— A jak te żelazka mierzą siłę?

— Dokładnie. Zuch z ciebie. Elizaweto, masz jeszcze krzepę. Oj, mężczyźni, co za wstyd!

— Całe życie doję. Wiesz rękami pracuję. Och tu dzień taki długi, bez końca, a w domu czas się pali.

Podczas kolacji siedziały osobno i Elizaweta Tichonowa stęskniona odwracała się do Róży, dając jej do zrozumienia, że wszystko jest w porządku, że czeka. A następnie w ciemnej sali wyświetlano film o wojnie i miłości. Elizaweta Tichonowa przytuliła się mocno do Róży i była całkiem spokojna. Zdawało jej się, że teraz zaraz pokażą jej męża, nie wiadomo skąd się to wzięło, starała się więc niczego nie przeoczyć i na wszelki wypadek trzymała w ręce chusteczkę.

Film był dobry. Wprost nad głowami migotał jasny snop światła, rozdzielając ciemność na dwie części.

Kiedy wyszły na dwór, Elizaweta Tichonowa powiedziała do Róży:

— Czy uwierzysz, że myślałam, iż pokażą męża. Głupiam, dziewczęce lata sobie przypominałam. Coś jakby... ale nie, dobrze, przyjemnie było.

— Artyści zawsze są do kogoś podobni — zawyrokowała Róża.

Było mroźno. Na czarnym niebie rozsiadły się gwiazdy jak ziarenka soli. Podczas gdy wracały, szron osiadł na ich chustkach. Zagrały dwie partie w durnia. Herbaty popily. Róża nawet chciała Elizawecie zrobić fryzurę, ale ta odmówiła:

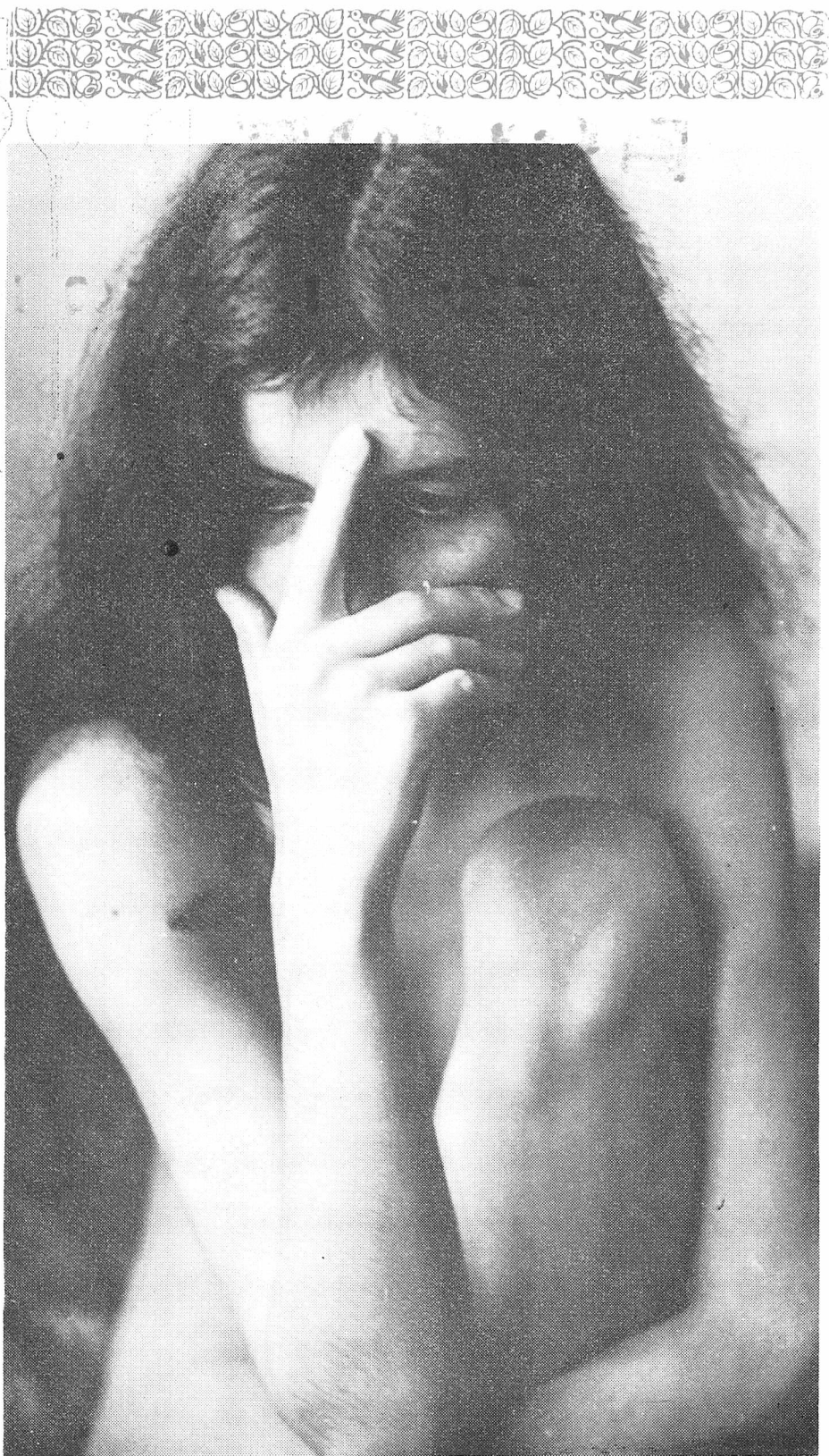
— Chociaż jesteś fryzjerką, mnie to naprawdę niepotrzebne. Głowa może rozboleć.

— W takim razie kładźmy się, jutro czekają nas wanny.

I już w łóżku, Róża w zadumie zaśpiewała przeciągłą tatarską piosenkę. Śpiewała z zamkniętymi oczami, jak na szerokiej przestrzeni przy ognisku. Dziwny smutek wypełnił serce Elizawety Tichonowej. Róża zasnęła wkrótce jak dziecko. Westchnęła głęboko i już śniła. Elizaweta Tichonowa przypominała sobie jeszcze przeżyty dzień, żeby go mocniej zachować w pamięci — dobrego, rudego psa Szarika i dobrego chłopczyka koło bramy, siostrę Lidię z obrączką na palcu i nową przyjaciółkę, Różę — a wszystko to było rozświetlone lśniącem śniegiem pod jaśniejącymi promieniami słońca.

Zasypiała w atmosferze szczęścia i spokoju, jak gdyby zanurzała się w młodym, pachnącym sianie, a opodal nad jeziorem pasły się Milutka i Zeńka....

RUSTEN KUTUJ
Z rosyjskiego tłumaczył
k.j.



Fot. K. Hałapacz

Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. S. Janiszewskiego 14 pok. 14/15, tel. 270-51 w. 240 (pocztą wewnętrzną: P9/S). Redaguje zespół w składzie: ADAM BUCHELT (z-ca redaktora naczelnego), WANDA DRYLL (sekretarz redakcji), ERNEST DYCZEK, JERZY GIRULSKI (redaktor naczelnny), SŁAWOMIR HULANICKI, WOJCIECH KOZAK, JERZY MAĆKOWIAK, MAŁGORZATA MICHAŁAK, JANUSZ M. PAWLIKOWSKI (z-ca redaktora naczelnego), MAREK SIUDYM, ZBIGNIEW SZTUBA, STANISŁAWA SZULC, JERZY WŁODARCZYK, MARIA WOJCICKA.

Opracowanie graficzne: ZDZISŁAW WÓJCICKI przy współpracy JERZEGO DANIELAKA i MARIOLI ORZECZOWSKIEJ.



Motto: Tak trudno o literaturę faktu, gdyż nie wszystkie fakty lubią literaturę

Doniesienia własne:

Według zapewnień naszego donosiciela, kierownik Domu Studenckiego „Nad Fosą” wydał zarządzenie na mocy którego wszystkie osoby wracające do akademika po północy mogą być wpuszczone do środka jedynie za okazaniem biletu (PKS, PKP) wystawionego w miejscowości stałego zamieszkania.

Z naszej strony proponujemy system ten udoskonalić przez wprowadzenie zaproszeń z domu potwierdzonych przez rejenta. Życzymy powodzenia!

Po krótkiej sprzeczce pomiędzy mieszkanką a kierowniczką DS Parawano-wiec ta ostatnia przyrzekła mieszkance załatwienie pewnej sprawy. Jakież było zdziwienie mieszkanki gdy dowiedziała się, że ową sprawą było nieprzyznanie jej akademika. Kawał może to i dobry, ale gdzie tu prawo do własnej obrony, gdzie rozważa i opinia Rady Mieszkank? Swoją drogą wskazuje to na doskonałe poczucie humoru.

K-574

Uprzejmie informujemy, że przetrzymywanie butli ze sprężonym gazem na korytarzach tudzież bez odpowiedniego zabezpieczenia, grozi śmiercią lub kalectwem a odpowiedzialnym za bezpieczeństwo dymisją, grzywną lub więzieniem. Ostrzegamy, jednocześnie, że nasi agenci przygotowują odpowiedni raport w tej sprawie. Łaskawe datki prosimy wpłacać na konto: P/9 346-827.

Jak podały źródła nieoficjalne dr H.P. po kilkumiesięcznych poszukiwaniach zdobył potrzebną mu nie wiadomo po co — rurkę szamotową. Przejęty tym wydarzeniem zarzucił prowadzone przez siebie badania, wracając jednocześnie do dawno nieukończonego tematu. W związku z nieplanowością postępowania dr H.P. wyżej wzmiankowanemu odebrano rurkę. O dalszych losach dra H.P. i rurki nic nam nie wiadomo.

Jak dowiadujemy się ze źródeł własnych w pracowni docenta S.H. wybuchł pożar. Wezwana straż pożarna przybyła w rekordowo krótkim czasie pięciu minut. Niestety kilkanaście następnych minut zabrało strażakom ustalenie, dosyć ważnej kwestii a mianowicie: gdzie oni mogli wsadzić te cholerne gaśnice?

ANTY „DO-RO”

„Organizatorzy festiwalu zrobili graciarnię w Hali Ludowej” — pod takim tytułem 258(7535) numer „Gazety Robotniczej” z dnia 30 października zamieścił notatkę o tym, że po festiwalowych imprezach organizowanych w Hali Ludowej pozostało tam 300 cegieł, 15 blaszanych puszek, kilkadziesiąt rur od rusztowań, kilkanaście beczek, 15 elementów dekoracyjnych w formie trójkątów, 10 podestów, betoniarka ... Zwieźli tam to-to studenci — sprzątał gospodarze obiektu. Jak będą Oni — i Czytelnicy „Gazety” — wspo-

minąć organizatorów imprez kulturalnych młodzieży akademickiej?

(szl)

OGŁOSZENIE DROBNE

Biuro Organizacyjne V Festiwalu Kultury Studentów PRL poszukuje pilnie kozła ofiarnego.

ZŁOTA MYSL

Po co się martwić o jutrzejszy obiad. Pomyśl jak strawić dzisiejszy. Mądrość nie zawsze idzie w parze z rozsądkiem.

KSIĄŻKI — opowiadanie zebrane

Cha! — odsapnąłem radośnie, naciśnięcie w końcu klamkę drzwi wiodących wprost do wypożyczalni Biblioteki Głównej, — jak ciężka jest droga do wiedzy.

Stałem na końcu kolejki, tyle długiej co szerokiej, z rzadka przetkniętej postacią, na której można by wzrok oprzeć. Z braku dlań (wzroku) oparcia zasnąłem nawet, ale ze względu na spory tłok nie wyrzuciłem sobie żadnej krzywdy.

Tak przesuwany dotarłem do okienka a przebudzony dostrzegłem sympatyczną i uśmiechniętą twarz Pani, która zdawała się do mnie mówić.

Wyczuwając intencje podałem Pani kartę biblioteczną i legitymację. Pani rozpoczęła rozglądanie się po półkach, potem zajrzała pod półki, następnie przerzuciła stertę książek leżącą obok jakichś tajemnych drzwi i nader sympatycznie wyjaśniła mi, że książek nie ma. Poprosiłem Panią o sprawdzenie raz jeszcze. Pani przeszukała kilka tuzinów karteczek ale moich zwrotów nie znalazła. Zaintrygowano to Panią do tego stopnia, że przerzuciła raz jeszcze wspomnianą stertę.

Z uśmiechu na jej twarzy wywnioskowałem, że jeden „strzał mam w tarczę”. Niestety — radość moja była przedwczesna; okazało się, że jest to, owszem, moje zamówienie ale przez pomyłkę z inną książką.

Dobilo mnie to wyraźnie ale w prawdziwie pesymistyczny nastrój popadłem, kiedy Pani (nadal z uśmiechem) poradziła mi na pozostałe dwie pozycje złożyć nowe zamówienie, bo te pewnie gdzieś zagubiono. Napisałem, złożyłem, poczekałem z pół godziny i nic, książek nie było. Pomyślałem więc sobie, że droga do wiedzy jest nie tylko ciężka ale i wyboista.

awm



ZABAWA W CHOWANEGO

(z autentyków korytarzowych w C-2)

Wśród studentów elektroniki olbrzymią popularnością cieszy się zabawa, której opis podajemy: 1. Wejść do ustępu, 2. Wyrzucić klucz. 3. Wejść do sedesu. 4. Pociągnij za sznurek. 5. Wezwij hydraulika.